

André Frossard

ISTNIEJE INNY ŚWIAT

tłumaczył
KAROL LEWICKI

OD TŁUMACZA

Zamiast wstępu podaję urywek z książki André Frossarda *Rozmowy z Janem Pawłem II* — wyd. Libreria Editrice Vaticana 1982.

„Wiadomo przecież, że rozmawiam z człowiekiem, który napisał przed 12 laty znaną książkę: *Dieu existe, je l'ai rencontré*. Miałem szczęście zapoznać się ongiś z tym szczególnym zapisem Pańskiego osobistego doświadczenia, kilka zaś miesięcy temu otrzymałem od Pana drugą książkę, którą również wnet przeczytałem. Książka ta nosi tytuł *Il y a un autre monde*, jest autobiograficzna, podobnie jak poprzednia, z tym, że stara się bardzo szczegółowo odnotować wszystkie okoliczności wydarzenia opisanego w *Dieu existe, je l'ai rencontré*. Szczególnie sugestywne wydaje mi się w tej nowej książce zestawienie dwóch nawróceń: Pańskiego, które miało miejsce w 1935 roku oraz nawrócenia o. Alphonse Ratisbonne'a, które dokonało się w poprzednim stuleciu. Okoliczności w obu wypadkach wskazują przede wszystkim na jedno, mianowicie na nieoczekiwany, równocześnie natychmiastowy i całkowity fakt wewnętrznej przemiany: przejście od niewiary (czy też ateizmu) do wiary dokonuje się jakby bez żadnego przygotowania. Jest to jak gdyby gwałtowne przerwucenie się świadomego podmiotu na przeciwny biegun czy też umieszczenie go w in-

nym świecie, diametralnie różnym od poprzedniego lub też — jak gdyby pozostawienie jednego życia dla drugiego. Zarówno Pan, jak i przed stu laty o. Ratisbonne, stajecie się w mgnieniu oka z niewierzących integralnie wierzącymi katolikami — pozornie bez żadnego przygotowania, bez żadnej wstępnej katechezy.

Dał Pan swojej pierwszej książce tytuł *Bóg istnieje, spotkałem Go*. Tytuł — tak jak brzmi — jest wspaniałą i prowokacyjną zarazem. Co to znaczy „spotkać”? Tego nie można odnieść do „spotkania” Boga. Pozostawałoby to w kolizji ze słowami Janowej Ewangelii: „Boga nikt nigdy nie widział” (J 1, 18), a także z tym, co w Starym Testamencie usłyszał Mojżesz: „Nie będzie Mnie oglądał człowiek, ażeby żył” (Wj 33, 20). Pan też nie twierdzi, że w momencie nawrócenia „ujrzał” Pana Boga. Myślę, że tytuł książki mówi tylko o tym, że doświadczył Pan Jego działania w sobie, odczuł niejako wewnętrzne dotknięcie Jego światła i mocy. Tylko tym bowiem można wytłumaczyć ową gwałtowną przemianę wewnętrzną — a równocześnie to, że w nowym stanie ducha jaki jest owocem tej przemiany, Pan odnajduje natychmiast siebie. Więcej: Pan czuje, że jest równocześnie tak samo sobą i poniekąd bardziej sobą niż przedtem. Nie został Pan przez nawrócenie wyzuty z siebie, pozbawiony siebie samego. (Jest to jednocześnie bardzo ważny argument wzięty z doświadczenia przeciwko tezie o alienacji człowieka, do jakiej religia rzekomo ma się przyczyniać”).

Książkę *Istnieje inny świat* tłumaczyłem z przekładu niemieckiego *Es gibt eine andere Welt*

(tłum. Lotte v. Schaukal wyd. Herder). Wobec braku oryginału francuskiego *Il y a un autre monde*, Fayard, Paris 1976, nie mogłem porównać, na ile przekład niemiecki zgadza się z oryginałem.

Tłumaczenie z niemieckiego na język polski nastroczało wiele trudności. Niektóre zdania w wydaniu niemieckim były gigantycznie rozbudowane. Tłumacząc starałem się rozbijać przydługie okresy na kilka zdań, stosowałem nawiasy, średniki i myślniki. Mimo tego nie zawsze udało mi się uniknąć dłużyzn. Jednak wobec braku tłumaczenia tej nadzwyczaj ciekawej książki na język polski (przynajmniej dotychczas nigdzie nie spotkałem) zdecydowałem się na przekład z języka niemieckiego.

Do podjęcia pracy zachęciła mnie s. Maria Janina Wizor de N. D., która też udzielała mi w trudniejszych momentach rady i pomocy, za co składam serdeczne podziękowanie.

Również kieruję wyrazy wdzięczności do Pana Docenta dr Jacka Petelenza-Łukasiewicza za łaskawe przeglądnięcie i poprawienie rękopisu.

Karol Lewicki

Wstępuję do Twoich opuszczonych kościołów,
mój Boże, widzę małą, czerwoną lampkę Twego
tabernaculum, drgającą w mroku i przypominam
sobie moją wspaniałą radość.

Jak miałbym ją zapomnieć!

Jak mógłbym zapomnieć ów dzień, w którym
między murami nagle przez światło podzielonej
kaplicy wyłoniła się nigdy nie przeczuwana Mi-
łość, na mocy której kocha się i oddycha; dzień,
w którym dowiedziałem się, że człowiek nie jest
sam, że przenika go, otacza i oczekuje niewidzial-
na Obecność, że po przeciwnej stronie świata
zmysłowego i fantazji istnieje inny świat. Świat
materialny, tak piękny, tak dobitnie zwracający na
siebie uwagę, nie jest przy tamtym niczym więcej,
tylko nieokreślonym majakiem i przez to dalekim
odblaskiem Piękności, która go stworzyła.

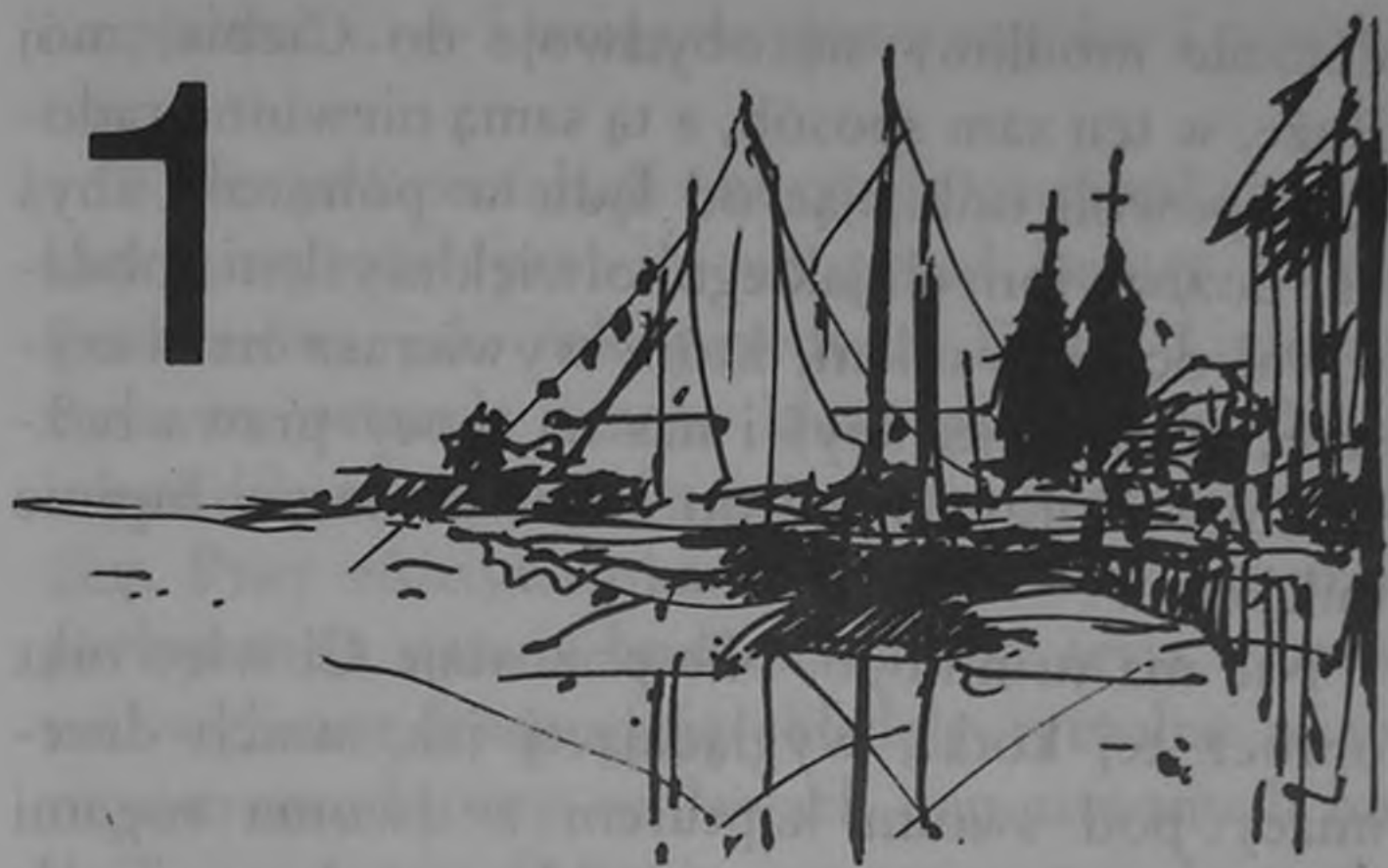
Istnieje bowiem inny świat. Mówię o nim nie
na podstawie hipotezy, wniosku rozumowego
albo słyszenia. Mówię o nim z doświadczenia.

Wracuję do Twoich poprzednich listów,
nie Boże, widać małą stworzoną lampę. Twój
szczęśliwym, dającą w miarę i przy
sobie moją wspaniałą robotę.

Jak mój brat i zapomniał!

Jak mógłbyś zapomniać oświecić w swojej
miejscu, nie mażesz nigdy przez światło potężnego
kajdaku, wyjdź się nigdy, nie straszono mi
tę, na mocy której, która się i odgrywać może
w którymś dowiedzieliśmy się, że człowiek nie jest
tam, że przynika go, stacja i odczucie nieważności.
na Obecnym, że go przeszedł, a nie jest
zmysłowego i turyści, nie mażesz być światem
materialny, tak piękny, tak dobrane, zwracając się
nie mażesz, nie jest przy tym samym wiesz
tylko niczego, nie mażesz i przez to dalsze
oddzielnie i pięknie, która go stworzyła.

Jeszcze bardziej inny świat. Mówić o nim nie
na podstawie hipotezy, wniosków rozumowego
albo sfery. Mówić o nim i dowiedzieć.



W małym porcie adriatyckim, w którym spędzam wakacje z moimi dziećmi, stoi między mostem kolejowym a magazynem kościół poświęcony świętemu Antoniemu, gdzie każdego dnia odnajduję coś ze wstrząsu mego pierwszego spotkania z Nieprzeczuwalnym. Do połowy wysokości ceglana budowla koloru franciszkańskiego kaptura, w pozostałej części przyozdobiona gipsową sztukaterią o wyglądzie lodów waniliowych i pistacjowych, przypomina mi w połowie pozostawioną neapolitańską kanapkę. Również we Włoszech zdarzają się nie tylko dzieła sztuki.

Dojście do chóru osłaniają dwa małe, poślaczane, drewniane anioły, które usadowione na prawo i lewo od łuku triumfalnego wydają się gorliwie nucić. Nieco dalej mój wzrok pada na Matkę Boską z pomalowanego gipsu i podobny wizerunek Najświętszego Serca, przed którymi dwa tuziny świec cicho wypełniają swe modlitewne posłanie.

Kto je zapala? Nie widuje się nikogo w tym cichym zakątku. Omal nie powiedziałbym: nawet kota. Ale nie, to właśnie się nie zgadza. Od czasu do czasu przychodzi kotka, aby, zwinięta na taborecie zespolic swoje rozważania z moimi. Wi-

docznie modlimy się obydwójcie do Ciebie, mój Boże, w ten sam sposób, z tą samą niewinną radością, powoli odbijając od ładu w półmrok, abyś nas pozbawionych jakiegokolwiek myślenia obdarował oczarowaniem, które wywierasz na wszystko, co istnieje, abyś i nas na mocy prawa bezwładności przyciągnął do siebie w naszej łupinie milczenia.

Nie ma tu nikogo. Nie pozostaje Ci więc nikt oprócz tej kotki, wyglądającej jak mnich drzemiący pod swoim kapturem z dwoma rogami i oprócz najgorszego ucznia klasy siedzącego całkiem z tyłu kościoła. Poznaje on po wszystkich możliwych znakach, że świat zamierza uwolnić się od Ciebie i gorąco pragnie wstać i wypowiedzieć lekcję, której Ty go nauczyłeś, a którą jeszcze tak źle umie.

Przypominam sobie: to było w 1935 roku, miałem wtedy dwadzieścia lat. Francja łudziła się jeszcze, że jest wieczna, ale złudzenia nie miały już trwać długo. Powoli wychodziła wspólnie z całą Europą naprzeciw nowej krwawej kąpieli. Francja mimo złych przeczuć odrzucała tę myśl od siebie, wzbraniała się w to uwierzyć i w ten sposób nie mogła się już więcej wyłamać spod okrutnej siły przyciągania. Z radiostacji, położonych przy granicy wschodniej, rozbrzmiewały mowy złowieszczonego kaprała, który prócz układu wersalskiego nigdy więcej niczego nie przeczytał. Swoim głosem grał jak smyczkiem na najniższych strunach człowieczych uczuć. Z otwartymi ustami spoglądała Francja przez strzelnice swoich umocnień na masy ludzkie gromadzące się z pochodniami w biały dzień wokół bladego oblicza, oblicza, którego szkliste oczy wywoływały dreszcz

na plecach... — i wciągała głowę szybko z powrotem.

Wewnątrz po falach oburzenia panował spokój, który wyniósł prawicę aż przed bramy pałacu Burbonów, jak rok przedtem Front Ludowy. Była to ostatnia szansa klasy pracującej. Burza uspokoiła się, ale rządy mimo tego ponosiły porażkę. Przy różnych okazjach, takich jak otwarcie parlamentu, narada budżetowa, czy sesja wiosenna, wybrane korporacje składały rytualne ofiary ministrom, którzy na ławach deputowanych budzili się znowu do życia, przygotowani do nowego poświęcenia. Mówcy, świadomi, że najlepiej jedzie się na parlamentarnym kompromisie spokojnej Republiki, gdy się nic nie mówi, posługiwali się jak najhojniej słowami pozbawionymi sprecyzowanej treści, takimi jak „demokracja” albo „postęp”, doskonale nadającymi się do zastąpienia w trakcie przemówienia każdego brakującego ogniwa łańcucha. Tymczasem grunt moralności i kultury, na którym Francja opierała się od stuleci, zaczął całkiem powoli usuwać się. Naród czuł przy tym pewien niesmak i przejściowo lekkie wrażenie, że jest oszukiwany, przypisywał to jednak znużeniu lub porze roku.

Mój ojciec, któremu jego niespokojny duch nie pozwolił nigdy odpoczywać, założył niedawno z kilkoma dysydentami nową grupę parlamentarną. Wzięła sobie ona za cel powiązanie idei socjalizmu z siłą praktycznej jej realizacji. W wieku trzydziestu lat został, jako pierwszy w jej historii, generalnym sekretarzem Komunistycznej Partii Francji. Wystąpił z niej w 1923 roku, aby powrócić do „starego domu” (tak nazywano partię socjalistyczną), pod jego gościnny dach reprezentowany przez niezrównanego Leona Bluma. Był to czło-

wiek o skończonej wytworności charakteru; dzięki swemu arystokratycznemu wychowaniu wydawał się otoczony jakby pozłacaną balustradą, podobną łóżku z baldachimem Ludwika XIV i zawsze, gdy zwracał się do Republiki, robił wrażenie suwerena pijącego bruderszaft z instalatorem. Mój ojciec pozostał czternaście lat w „starym domu”, aby ostatecznie odkryć, że wiedziano tam dobrze o niebezpieczeństwie zagrażającym demokracji od faszyzmu i narodowego socjalizmu. Doszedł jednak do przekonania, że dogmatyzm i zupełny niedostatek wyobraźni wykluczały jakiegokolwiek przeciwdziałania wobec tych niebezpieczeństw. A więc odszedł. Właśnie najmądrzejszym głowom, posiadającym dobre rozeznanie w szybkich zmianach sytuacji politycznych i różnorodnych możliwości w nich tkwiących, trudniej było niż innym zdecydować się. Także u niego zachodził podobny wypadek. Reagował na jakieś zdarzenie z szybkością wiewiórki, mylił się jednak czasem co do gałęzi i gałąź, którą wybierał, nie była mocna. Może byłoby lepiej, gdyby został w partii. A tak uchodził za niestałego, aczkolwiek tylko on, zrozpaczony, przewidywał (zaś od przyjścia Hitlera znajdował się poniekąd zawsze w gotowości alarmowej), że jego kraj będzie się stawał coraz to słabszy, gdy tymczasem nieprzyjaciół rósł w siły.

Choć czasem występuje się z partii, to jednak tym samym nie wyrzeka się socjalizmu. Od trzynastego roku życia związany z Jauresem zachował mój ojciec nienaruszoną ideologię. Pod jego wpływem cała rodzina, w połowie z przeswiadczenia, w połowie z podziwu dla niego, pozostała wierna tej „religii”, która obiecywała człowiekowi uzdrowienie przez człowieka. Czy czło-

wiek ów był jednak podług Marksa powołany do triumfu nad różnymi formami swego poddaństwa, aby się w końcu zobaczyć wolnym w jakimś raju po tamtej stronie historii, kręcąc się dookoła siebie „jak dookoła Słońca”? Po prawdzie bardzo mało szeregowych członków partii troszczyło się o ten ostateczny cel socjalizmu, jeśli w ogóle coś o tym słyszeli. Było jeszcze wiele zmian do przeprowadzenia przed osiągnięciem tego idealnego stanu, w którym wola człowieka nie pragnącego niczego więcej niż siebie samego żywiłaby się sama sobą i uchylałaby się ciągle przed każdym wezwaniem miłości.

Nie muszę mówić, że byliśmy ateistami. Socjalizm nie jest systemem ekonomicznym, jest metafizyką na gruncie odrzucenia obrazu człowieka, jaki uformowały wieki tak zwanego obskurantyzmu i duchowego nacisku; odrzucenia Stwórcy i Najwyższego Prawodawcy; odrzucenia ustalonego porządku (choćby nawet wypływał tylko z natury rzeczy); odrzucenia myśli, że się jest obrazem kogoś drugiego, jak to o nas mówi Biblia, choćby nawet ten drugi był istotą promienistą, którą chrześcijanie nazywają Bogiem (nadając Mu też miano „Omega”) i uznają za jedynie godnego uwielbienia.

Zgodnie z moją naturą i skłonnością — duchowo, moralnie i jak dalece to możliwe także cieleśnie nieobecny — śledziłem z roztargnieniem polityczne i parlamentarne zdarzenia z jakiegoś kąta kulisów, z którego, prawdę powiedziawszy, niewiele można było zobaczyć. (Moja wiedza składała się wtedy z dwóch słów: „być nieobecnym” i nie jestem pewny, czy się w tym punkcie zmieniłem).

Pierwszy rząd, do którego należał mój ojciec po swoim odejściu z partii socjalistycznej, trwał tyl-

ko dwadzieścia cztery godziny. Ministrowie tylko co opuścili Pałac Elizejski, aby przyjąć pożegnanie w Pałacu Burbonów.

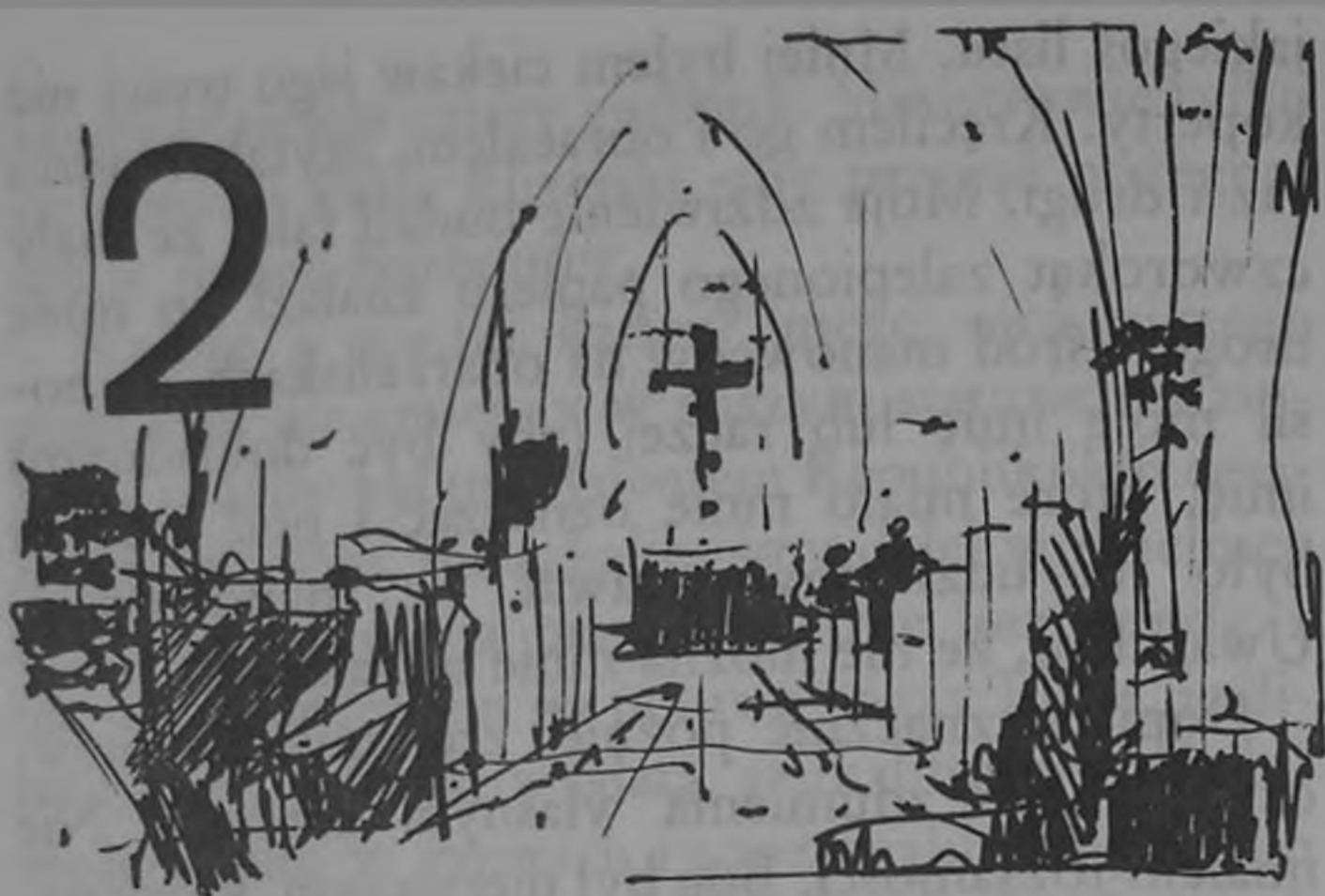
Wzloty i upadki kariery mego ojca niczego poza tym nie zmieniły w naszym statusie rodzinnym. Gdyby był prezydentem Republiki lub cesarzem chińskim, mieszkalibyśmy dalej w dzielnicy des Volontaires na piątym piętrze bez windy z ukośnym widokiem na połowę wieży Eiffla, jedlibyśmy dalej frytki z sałatą, szukalibyśmy wiadomości o nim w gazetach i spożywalibyśmy z nim obiad w dwie albo trzy niedziele w roku, których nie spędzał ze swoimi towarzyszami z Rochamps.

Co mnie dotyczy, godnego pożałowania, pozbawionego ciekawości miejscowego reportera, którym byłem, pozostałbym bez wątpienia dalej kreślarzem greckich świątyń (jedyna predyspozycja do przyszłych mistycznych spotkań, którą mogłem odkryć w mojej młodości, gdy zajmowałem się ogólnie architekturą, a architekturą kobiecą w szczególności) — pasja, łagodzona z jednej strony przez lenistwo, z drugiej obdarzona naglącą zdolnością oglądania. W dodatku kultywowałem zupełnie nieaktywny sceptycyzm. Żyłem jakby na otoczonej mgłą wyspie, oddalonej od zamieszkałych stref ziemi, tak że komunikacja z moimi bliźnimi napotykała na trudności prawie nie do przewyciężenia. Przeświadczony o tym, że wysilam daremnie swoje płuca, trzymałem język na wodzy. To, co było w stanie skłonić mnie ewentualnie do słuchania, przychodziło z tak dużej odległości, iż oszczędzałem sobie trudu na odpowiedź; miała ona zresztą mało szans dotarcia do swego adresata zanim on ze swej strony zmieniłby partnera i temat.

Nic mnie tak nie zaskakiwało, jak otrzymanie

jakiegoś listu. Mniej byłem ciekaw jego treści niż koperty. Kręciłem go i obracałem, czytałem adres raz i drugi. Moje zdziwienie budził fakt, że mały czworokąt zalepionego papieru znalazł do mnie drogę wśród manowców na oparzeliskach, że nosił moje imię lub raczej (aby być dokładnym) imię, które miało mnie oznaczać i pod którym było mi udzielonym dawać się rozpoznawać. Uważałem, że nie można mnie odnaleźć.

Dopiero znacznie później zrozumiałem przyczynę mego zdumienia własnym adresem. Nie miałem tożsamości. Bóg był pierwszym, który nazwał mnie po imieniu, tak jak was nazywa w skrytości po imieniu, was, którzy mnie czytacie. I czy jesteście wielcy czy mali, sławni lub nie, tylko ON was zna.



Oto zdarzyło się pewnego dnia, że w wyniku przypadku lub całego łańcucha przypadków wstąpiłem do małego kościoła w Paryżu (równie mało zachęcającego i kolorystycznie jeszcze mniej wesołego jak ów, w którym spędzałem późne przedpołudnia moich włoskich wakacji) i spotkało mnie to, co opowiedziałem w książce *Bóg istnieje — spotkałem Go*. W kilka minut później wyszedłem jako katolik, co pozwoliło kilku czytelnikom, inspirowanym przez Kartezjusza, wyrazić domniemanie, że z protestanckiego wyszedłbym może jako protestant, zaś z meczetu jako mahometanin. Czy można jakiejś dekoracji przyznać tak wielką magiczną siłę? Mogę jedynie powiedzieć, że w tym dniu stałem się katolikiem od stóp do głów, katolikiem ponad wszelką wątpliwość — a nie protestantem, ani muzułmaninem, ani żydem. Byłem tak mocno zaskoczony, widząc siebie przy wyjściu z kościoła katolikiem, jakbym był zaskoczony, znajdując siebie przy wyjściu z ogrodu zoologicznego żyrafą.

Żadna instytucja nie była mi bardziej obca niż Kościół katolicki, mógłbym nawet powiedzieć: żadna bardziej niesympatyczna (choć słowo to

wywołuje wrażenie aktywnej wrogości, która tu nie miała miejsca). Była dla mnie tak daleka jak Księżyc lub Mars. Voltaire nie powiedział mi o niej nic dobrego, a od mego trzynastego roku życia nie czytałem prawie nic innego prócz Voltaira i Rousseau. Nagle zostałem oddany Kościołowi, przekazany i powierzony jak nowej rodzinie z poleceniem podjęcia dalszego ciągu życia na jego rachunek. Później nawet pisemnie wyraziłem moje zdumienie, że to w ogóle dało „dalszy ciąg”: musiałem wędrować dalej, choć znajdowałem się już w porcie i to wobec światła, które widziałem tak blisko przede mną, podczas gdy było ono jeszcze, czego nie mogłem się nawet domyślać, tak daleko.

Jak to jest możliwe, by młody człowiek, nie różniący się od milionów rówieśników, nie odznaczających się niczym szczególnym, chyba tylko żywą skłonnością zmieniania białego na czarne i odkładania swoich marzeń *ad calendas Graecas*, wychowany nie tyle przez rodzinę, ile przez lekturę, w głęboko zakorzenionych przesądach przeciw chrześcijaństwu, Kościołowi i Bogu, mógł w mgnieniu oka tak zupełnie się przemienić; nie poznawał sam siebie i w miejsce szydzącego niedowiarka znajdował wierzącego katolika. Przecież uważał dotąd, że: chrześcijaństwo było pierwszym, od dawna zniekształconym przez księży zarysem socjalizmu; Kościół był sprzymierzony z ciemnotą, z którą kiedyś wraz zniknie; prymat Boga wobec człowieka był już sam w sobie niesprawiedliwością, czyniącą go nie do przyjęcia.

Całe owo myślenie stało się u niego i jego otoczenia nawykiem, zaoszczędzającym niejednokrotnie potrzeby bliższego rozpatrywania tych treści. Jak to było możliwe, powtarzam, by taki młody czło-

wiek mógł się w jednym momencie tak zupełnie przemienić, iż nie poznawał samego siebie i w miejsce niedowierzającego kpiarza, którym był, znajdował wierzącego katolika?

Jak to się mogło stać, że on, który jako zrównoważony, nie niepokojony przez żadne skrupuły ateista, bezmyślnie wstąpił do kościoła, opuścił go zaś krzycząc z radości — naturalnie w sercu — o tym, iż prawda jesta taka piękna; tak piękna, że czasem aż trudno jej uwierzyć, ale nie powinno być trudno ją kochać. Wyszedł z pełną niecierpliwością podzielenia swojego szczęścia z całym światem, wstrzymując się tylko z trudem od ostrzegania przejezdnych, iż spacerują na krawędzi wieczności i w każdym momencie mogą wpaść w światło; wreszcie przeświadczony o tym, że nie ma na świecie żadnego godniejszego, piękniejszego, konieczniejszego i bardziej naglącego zadania od wielbienia Boga za to, iż On istnieje i jest tym, czym jest.

To nie był Bóg — powiedział jeden bardzo znany niemiecki teolog. Ten wyróżniający się młody człowiek zrobił intuicyjny wypad w „głębię bytu”.

Młody człowiek wie sam od początku bardzo dobrze, że nie zrobił żadnego intuicyjnego wypadu. Czyż byłby zdolny wytworzyć tak jasno intuicyjną wiedzę o takiej mocy, czy nie zrzekłby się po przeżytych czterdziestu latach tworzenia dalszej? To nie jest nieokreślone, anonimowe istnienie filozofii, które odkrył — to jest Istota, właśnie Istota, która nam wskazała porządek świata, pozwala nam odczuwać piękno, udziela nam zdolności myślenia. To jest Istota tego rodzaju, że od dnia, w którym on ją spotkał, natura, cokol-

wiek by czyniła i ludzie, cokolwiek by mówili, niczego innego mu nie przykazywali, jak tylko o NIM.

To jest niemożliwe — powiedział drugi. Boga nie „spotyka się”, szczególnie w kościele, nie istnieją żadne „osobiste objawienia”. Ale gdzież są owe objawienia zbiorowe? Wierzy się, że Duch Boży jest podobny do naszego, że jest ograniczony informacyjnymi środkami statystyki i że liczy ludzi na stosy — jak rodziny albo na ławice — jak śledzie? Dlaczego Babilon został zburzony? Czyż ten dumny wybryk równiny Sinaar zacienił Boską wszechmoc? Babilon został zburzony, ponieważ jego wieże nie były ukierunkowane ku górze, lecz na dół. Nie zagroziły niebu, lecz zmiażdżyły człowieka i sprowadziły do jego nic nie znaczącego poziomu. Cała judeo-chrześcijańska historia jest nieprzerwanym ciągiem osobistych objawień. Jest ich tyle, ilu wierzących. Bóg liczy je tylko za jedno.

Niemożliwe — powiedział znowu inny, który przysięga na psychoanalizę — nie istnieją żadne nagłe przemiany. Zestawiam jego zarzuty: nie wchodzi się przez komin do gospody w Emaus. Do każdej przemiany prowadzi droga, uświadomiona lub nieświadomiona, a każdy opis musi dawać o niej jakieś wyobrażenie. Ale jak będzie się świadomym swej własnej nieświadomości, jak można opisać drogę, która zaprowadziła kogoś do kościoła, gdy sądził, że idzie gdzie indziej. Nie można zadowolić psychoanalizy, jeśli się nie wyklucza z góry jakiegokolwiek interwencji pierwiastka boskiego w codziennym życiu. Jeśli chodzi o psychoanalizę o chrześcijańskim zabarwieniu, dopuszcza się istnienie Boga pod warunkiem, że On

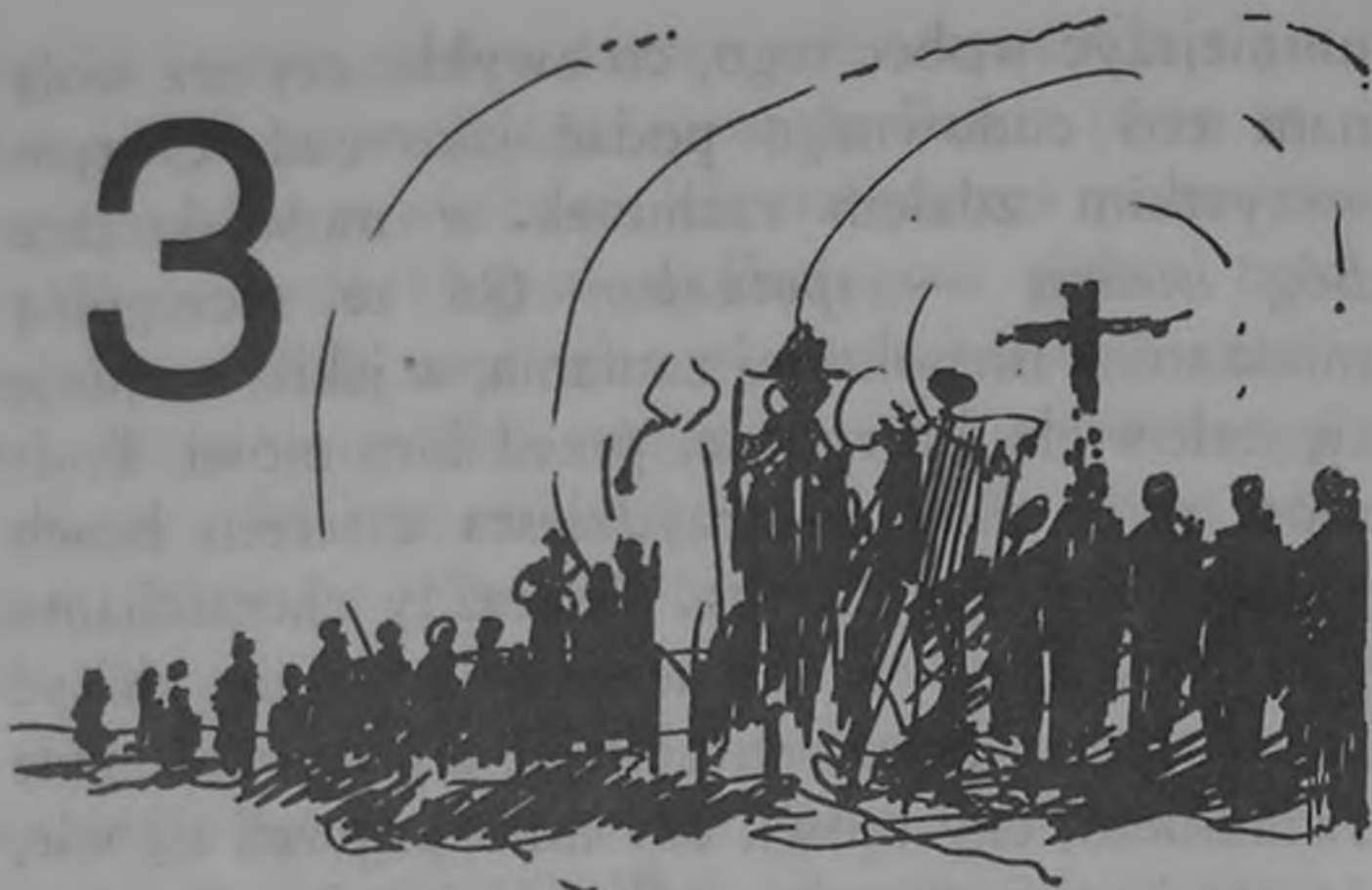
się nie uzewnętrznia. Łatwo też rozprawiła się z nawróceniem wielkiego apostoła Pawła (tym samym można powiedzieć, jak mało szans ma moje, które sprawiło kłopot psychologom głębi), bowiem w jednej, niedawno wydanej książce, autor przypisuje wszystko urojeniu: od gwałtownego światła, o którym mówi Apostoł, aż do głosu nawołującego go „Szawle, Szawle, dlaczego mnie prześladujesz?”. Światło było światłem słonecznym, zaś głos przyszedł z głębi jego udręczonej podświadomości. Szaweł stał się chrześcijaninem, nie wiedząc o tym. Odbiera się przy tej lekturze niesmaczne wrażenie, że Apostoł na drodze do Damaszku spadł nie z konia, lecz z kozetki jakiegoś psychoterapeuty.

Osobiste objawienia istnieją dlatego, że ludzie rzadko zbierają się tłumnie, by przyjąć boskie nauki. Schodzą się raczej, by się wzajemnie zwalczać i tępić, budować wieże babilońskie i wznosić złote cielce, urągać niewinnemu wstępującemu na szafot lub pozwolić zaufanym mistrzom kłamstwa rozpętać nasze najniższe instynkty. Tak samo istnieją nagłe, nie dające się przewidzieć, przemiany. Jeśli nam się zdarzy coś nieprawdopodobnego, tłumaczymy takie zmiany kursu w naturalny sposób niespodziewanym wpływem prądów i wiatrów. Zawsze pozostaje jeszcze do wyjaśnienia cłakowite przeobrażenie człowieka, dokonane w mgnieniu oka, i podobnie będzie jak z okrętem, który bierze inny kurs, chociaż mógł on być całkiem odmienny.

Jeśli te nagłe przemiany są cudem, to dobrze: a więc właśnie istnieją cuda, choćby to słowo mogło się nie podobać biblijnym egzegetom. Ci bowiem wszędzie, gdzie ono występuje, zmieniają je na „coś cudownego”, czy dlatego, by niezwykle

umniejszyć wobec tego, co zwykłe, czy też wolać nam coś cudownego podać jako cud. O tym wszystkim zdałem rachunek w mojej książce *Bóg istnieje — spotkałem Go* ze szczególną mieszaniną niepokoju i zaufania, w jakiej znajduje się człowiek, który wie, przed kim mówi. Podniósł swój głos po trzydziestu czterech latach milczenia tylko dlatego, że każdy chrześcijanin jest powołany w oznaczonej godzinie złożyć świadectwo i każdy chrześcijanin jest prawdziwie świadkiem, czy mówi, czy milczy. Jeżeli się wie, że nie istnieje na ziemi dla ludzi żadna inna nadzieja, jak tylko chrześcijańska, wtedy należy o niej mówić.

3



Jeden świadek, to żaden świadek — mówi przysłówie. Na rozprawie sądowej nie wystarczy jeden świadek, by wydać wyrok.

Ale gdybyśmy wzięli niezwykley wypadek, że byliśmy dwoma świadkami, którzy nie mogli się zmówić, gdyż urodzili się w odstępie stu lat i ów drugi do czasu zdarzenia nic o pierwszym nie sły-szał? Jeżeli dwaj mężczyźni prawie w tym samym wieku mieliby jednakowe duchowe przeżycie i wśród analogicznych przesłanek psychologi-cznych i materialnych okoliczności przeszli to samo przeobrażenie rozumu i serca? Jeżeli można by się powołać na dwa nagłe nawrócenia, dwa gwałtowne wtargnięcia światła do dwu zwróco-nych ku światu i nie troszczących się zupełnie o religię egzystencji?

Dopiero długo po moim nawróceniu usłysza-łem po raz pierwszy o Alfonsie Ratisbonne, któ-rego nazwisko nie budziło do tego czasu u mnie (jak zresztą też w małym Larousse) żadnego in-nego wyobrażenia, jak tylko pewnego miasta w Bawarii, stałej siedziby „Ratyzbońskiego Sej-mu Rzeszy” i dopiero niedawno wydana książka

Jean Guittonea *Rue du Bac on la supersition d'epas-sée* zapoznała mnie z historią tego człowieka. Nie mogę zupełnie wyrazić, jak byłem zdumiony. Wierzyłem, że czytam moją własną historię, tylko z pewnymi zmianami dotyczącymi jego wcześniejszego życia.

Alfons Ratisbonne był młodym Żydem ze Strasburga, bogatym, wykształconym, lubiącym używać życia synem bankiera: tyle o różnicach.

Także w mojej rodzinie bywali Żydzi, ale nie bankierzy, lecz wieśniacy, siodlarze, sklepikarka i nauczyciel — więcej nie wiem o moich przodkach. Nie byliśmy bogaci i moje wykształcenie było pełne luk. Teraz przychodzą zgodności: w 1842 roku Ratisbonne, w przerwie między podróżą na Wschód i zaplanowanym postojem w Palermo, jako spokojnie zażywający swej wolności turysta, wałęsał się po ulicach Rzymu. Użyczało mu to dość dalekiego podobieństwa do jednej ze Stendhalowskich postaci (to jest jeszcze jedna różnica, którą mógłbym przytoczyć) — mam tu na myśli Lucjana Leuven.

W 1935 roku łąziłem po Paryżu, mniej elegancki i mniej ustosunkowany, bez planu i celu i równie wyjałowiony religijnie.

Ratisbonne był zaręczony i wykorzystywał pozostający mu do założenia ogniska rodzinnego czas na to, by wiele podróżować.

Ja nie miałem narzeczonej, ale znałem młodą dziewczynę, która mogła być nią zostać.

On był ateistą i ja nie mniejszym, jednak jego sceptycyzm miał charakter bardziej zaczepny. Ratisbonne pozostawał stale w walce z Kościołem i chrześcijaństwem, na co nie pozwalałoby mi moje przyrodzone lenistwo. On miał bardzo pobożnego przyjaciela, barona de Bussiéres, któ-

ry ślubował i zanosił błagania, by uzyskać jego nawrócenie.

I ja miałem przyjaciela — więcej niż przyjaciela, brata, Andrzeja Villemin — który nie był ani baronem, ani zbyt pobożnym, lecz równie gorliwie i bezskutecznie trudził się, by odciągnąć mnie od ateistycznego socjalizmu.

Ratisbonne zgodził się od pewnego czasu z czystej przyjaźni — ale nie przypisywał tej sprawie rzeczywiście najmniejszego znaczenia — nosić nabożny medalik, który podarował mu przyjaciel. W tymże samym duchu zgodziłem się czytać książkę Bierdiajewa, która mnie równie mało nawróciła jak Ratisbonne'a jego medalik.

Takie zgodności mogą często zachodzić i dotąd paralela nie jest szczególnie ciekawa. Dopiero będzie. Następujące zdarzenia toczą się w odstępie stu lat według tego samego schematu, z tą samą szybkością, podobne wypadkom drogowym, które powtarzają się w ten sam sposób na tym samym miejscu.

Pewnego dnia przyjaciel Ratisbonne'a zaprosił go na przejażdżkę powozem; mój zaprosił mnie na posiłek i tu zaczyna się synoptyczny przegląd wydarzeń.

Ratisbonne wchodzi prawdopodobnie na stopień kolaski, jaką widuje się na romantycznych sztychach. Ja wsiadam do sympatycznego, starego pudła, którego drzwi zamykają się tylko przy pomocy łokcia.

Kolaska barona de Bussiéres zatrzymuje się na małym placu w Rzymie, gdzie wznosi się kościół S. Andrea delle Fratte. Nasz powóz zatrzymuje się na Rue d'Ulm przed kaplicą pod wezwaniem Najświętszego Sakramentu, z której widzi się tyl-

ko fronton nad żelaznym portalem. Kościół św. Andrzeja delle Fratte jest budowlą o skromnych wymiarach, prawdziwie włoską w pomieszeniu surowości planu z bogactwem dekoracji, z nadmiarem świec, które tu i tam tworzą całe powierzchnie światła. Pseudogotycka kaplica na ulicy Ulm jest szara i nie można niczego więcej o niej powiedzieć. Cała troska o wystrój skoncentrowała się na głównym ołtarzu, który jest przyozdobiony wysokimi kandelabrami i zielonymi roślinami, z górującą nadbudową w kształcie krzyża, przeznaczoną do dźwigania monstrancji. Chociaż pierwszy narzuca się ozdobami wątpliwej wartości, których drugi nie posiada, oba kościoły są równie banalne i nie mogą w żaden sposób pobudzić fantazji.

Baron, który chciał w kościele z kimś porozmawiać, wysiadł i zaproponował swemu gościowi, aby zaczekał na niego kilka minut lub mu towarzyszył. Takie samo zdarzenie ma miejsce na ulicy Ulm, gdzie Andrzej Villemin robi mi identyczną propozycję, z podobnym wyjaśnieniem, że oddali się tylko na parę minut.

Zamiast nudzić się w powozie, postanawia Ratisbonne odwiedzić kościół bez żadnego innego zamiaru, jak tylko dla powiększenia zbioru swoich rzymskich wrażeń. W tym samym momencie, to znaczy prawie o sto lat później i w odległości tysiąc pięćset kilometrów, miałem tę samą myśl: oglądnij kościół i zobacz, co robi przyjaciel.

Gdy każdy z nas otwiera drzwi swego kościoła, jesteśmy pełnymi niedowiarkami, którzy znajdują się tu dla swoich zainteresowań architekturą, względnie w poszukiwaniu przyjaciela, a nie jesteśmy żadnymi udręczonymi duszami w poszukiwaniu za ideałem. Nie wiem, co odgrywało

się w tej chwili w podświadomości Ratisbonne'a tak jak to utrzymują pewni ludzie, że wiedzą, co działo się w podobnych warunkach w podświadomości świętego Pawła. Lecz gdy działa moja własna podświadomość i chce mi spłatać figla, wtedy nikt o tym nie wie poza mną.

Ratisbonne staje niedaleko od wejścia obok bocznej kaplicy, wkomponowanej w mur po jego lewej ręce. Ja pozostaję w tyle kaplicy po lewej stronie, ale patrzę na główny ołtarz, którego widok przykuwa mnie; jeszcze nigdy nie widziałem wystawionej monstrancji z Najświętszym Sakramentem.

Jesteśmy jeszcze nadal dwoma niedowiarkami, straciliśmy kilka minut. Tak jeden jak i drugi jest równie mało usposobiony do mistycznych wzruszeń, a jednak nasza niewiara znajdzie tu swój koniec, rozsadzona przez pewność. Stale jeszcze jesteśmy zamurowani w naszej obojętności, ale nasze mury otworzą się i jak przerwana tama pozwolą wpłynąć światłu. Dwa następujące teraz objawienia będą przebiegać w różnych formach, jedno w obrazie, drugie bez obrazów, ale będą identyczne w swej nagłości, sile i bezgranicznym zdumieniu, jakie wywołają.

Kościół, który Ratisbonne przebiega roztrągnionym wzrokiem, nie zatrzymując się w swej drodze na żadnym dziele sztuki, znika nagle przed nim. To, co teraz widzi, to Matka Boska, taka jak na medaliku, który nosi na szyi, a dzisiaj w kolorach, ubogacona przez efekty świetlne, przedstawiona jest w kaplicy św. Andrzeja delle Fratte.

Ratisbonne doznaje uczucia szczęścia, które rzuca go na ziemię. Przypuszczam, że nie mógł on go innym opisać, podobnie jak i Bernadetta z

Lourdes miała trudność, by przekonać kler diecezjalny lub sprawić, by damy z prefektury uwierzyły, iż osoba należąca do dobrego towarzystwa, jak Panna Maria, mogła pokazywać się osiemnaście razy po kolei w tej samej sukni.

Co zdarzyło mi się w tej samej godzinie mego życia — opowiem za chwilę. Lecz najpierw przytoczę tu sprawozdanie Ratisbonne'a. Oto co pisze pod datą 20 stycznia 1842 roku:

„...Gdyby mi ktoś tego ranka powiedział: Wstałeś jako Żyd, a położysz się jako chrześcijanin — gdyby mi to ktoś powiedział, uważałbym go za całkiem szalonego.

Po posiłku w hotelu i odniesieniu moich listów na pocztę poszedłem do mego przyjaciela Gustawa, który był pietystą*. Właśnie wrócił z polowania, które zatrzymało go kilka dni poza miastem.

Zdziwił się, że zastał mnie jeszcze w Rzymie. Wyjaśniłem mu przyczynę: chciałem zobaczyć papieża.

— Ale odjadę nie zobaczywszy go — powiedziałem — ponieważ nie wziął udziału w ceremoniach świątecznych w Stolicy Piotrowej, gdzie robiono mi nadzieję zobaczenia go.

Gustaw pocieszał mnie. Ironizując — opowiadał o innej, całkiem szczególnej uroczystości, która, jak przypuszczam, miała odbyć się w Santa Maria Maggiore. Chodziło o błogosławieństwo dla zwierząt. Miał na ten temat w zapasie całą masę żartów i docinków, jak to sobie można przedstawić w rozmowie między żydem i protestantem.

Rozmawialiśmy o polowaniu, rozrywkach, radościach karnawału, o wspaniałym przyjęciu,

* Pietyzm — nurt w luteranizmie głównie w XVII i XVIII wieku.

które wydał książkę z Torlonii poprzedniego wieczoru. Naturalnie nie zapomniałem napomknąć o mej uroczystości weselnej, zaprosiłem na nią pana de Lotzbecka i on obiecał mi, że przybędzie.

Gdyby w tym momencie (było południe) ktoś trzeci był do mnie przystąpił i powiedział: Alfon- sie, za kwadrans będziesz uwielbiać Chrystusa, twego Pana i Zbawiciela i w nędznym kościele klęczeć na kolanach, będziesz u stóp kapłana bić się w piersi, w klasztorze jezuitów będziesz spędzał karnawał przygotowując się do chrztu, gotowy oddać swoje życie za wiarę katolicką i wyrzekniesz się świata, jego przepychu i radości, swego majątku, perspektyw, przyszłości i jeśli to jest konieczne, wyrzekniesz się także swojej narzeczonej, miłości swojej rodziny, poważania przyjaciół, sympatii Żydów i nie będziesz sobie niczego więcej życzył, jak tylko służyć Jezusowi Chrystusowi i nieść Jego krzyż aż do śmierci! ...mówię, gdyby jakiś prorok zrobił mi taką przepowiednię, nie uważałbym żadnego człowieka za bardziej szalonego od niego samego lub chyba tego, który uwierzyłby w takie szaleństwo! I to szaleństwo jest tym, co dzisiaj stanowi moją mądrość i moje szczęście.

Opuszczając kawiarnię spotykam powóz pana Theodore de Bussiéres. Zatrzymuje się i zaprasza mnie do środka na przejażdżkę. Była wspaniała pogoda i przyjąłem zaproszenie z przyjemnością. Jednak pan de Bussiéres prosił mnie, aby pozwolić mu zatrzymać się jeszcze parę minut w pobliskim kościele S. Andrea delle Fratte. Miał tam wypełnić pewne polecenie. Proponował mi, abym czekał w powozie, wolałem jedna wysiąść i przyglądać się kościołowi. Właśnie były tam w toku przygotowania do jakiegoś pogrzebu i zapytałem o zmarłe-

go, któremu miano tu okazać ostatnie honory. Pan de Bussiéres odpowiedział mi: To jest mój przyjaciel, książę de La Ferronays. Jego nagła śmierć — dorzucił — jest powodem smutku, który z pewnością od dwu dni u mnie zauważyłeś. Nie znałem pana de La Ferronays, nigdy go nie widziałem i wiadomość nie wywołała u mnie nic ponad nieokreślony smutek, który odczuwa się zawsze na wiadomość o czyjejś nagłej śmierci. Pan de Bussiéres opuścił mnie, aby zapewnić honorowe miejsca dla krewnych zmarłego. — Nie ma powodu do zniecierpliwienia, to jest sprawa kilku minut — powiedział, potem wszedł do krużgan-ka.

Kościół Świętego Andrzeja jest mały, skromny i niewiele odwiedzany. Przypuszczam, że byłem tam nieomal sam. Żaden przedmiot sztuki nie zwrócił na siebie mojej uwagi. Mechanicznie pozwoliłem memu oku wędrować dokoła, zupełnie bezmyślnie. Przypominam sobie tylko czarnego psa, który przede mną skakał wokoło ... Nagle pies zniknął, zniknął cały kościół, nie widziałem nic więcej lub raczej, o mój Boże, widziałem tylko jedno!!!

Jak można by wyjaśnić to, co jest nie do wyjaśnienia? Każdy wzniosły opis byłby tylko profanacją niewypowiedzianej prawdy. Klęczałem na kolanach, skąpany we łzach, nie władający sobą, aż mnie przywołał do życia pan de Bussiéres.

Na jego pospieszne pytania nie mogłem nic odpowiedzieć. W końcu chwyciłem medalik, który ciągle jeszcze nosiłem na piersi, pocałowałem namiętnie wizerunek Matki Boskiej, który promieniował nie dającym się opisać działaniem łaski... Tak, to była Ona, Ona!

Nie wiedziałem, gdzie się znajdowałem, nie

wiedziałem, czy byłem Alfonsem, czy kimś innym. Doznałem tak całkowitej przemiany, że wierzyłem, iż stałem się jakimś innym JA. Próbowiałem się odnaleźć i nie znajdowałem siebie ... Entuzjastyczny okrzyk wznosił się z wnętrza mej duszy. Nie mogłem mówić, nie chciałem niczego odsłonić. Wyczuwałem w sobie coś uroczystego, świętego, co kazało mi zażądać kapłana... Zaprowadzono mnie tam i dopiero potem, po otrzymaniu wyraźnego polecenia, mówiłem, o ile to było dla mnie możliwe, na kolanach i z bijącym sercem.

Pierwszymi moimi słowami były wyrazy wdzięczności dla pana de La Ferronays i dla arcybractwa Notre-Dame-des Victoires. Wiedziałem z pewnością, że pan de La Ferronays modlił się za mnie, ale nie mogłem powiedzieć, jak doszedłem do tego przekonania. Tak samo nie mógłbym zdać sprawy o prawdach, których znajomość została mi udzielona i w które teraz wierzę. Mogę tylko powiedzieć, że w tym momencie spadły łuski z moich oczu; nie jedna, lecz wszystkie, które mnie krępowały, znikały jedna po drugiej, tak szybko jak błoto, śnieg i lód pod działaniem palącego słońca.

Przy wchodzeniu do kościoła niczego nie wiedziałem, a przy wyjściu wszystko jasno widziałem. Mogę tę przemianę wyjaśnić tylko przez porównanie z człowiekiem obudzonym nagle z głębokiego snu lub też ze ślepym od urodzenia, który nagle zobaczył światło dzienne: widzi, ale nie może określić światła, które go oświeca i w którego blasku ogląda cudowne dla niego przedmioty. Jeżeli nie można wyjaśnić światła fizycznego, jak można wytłumaczyć owo, które w istocie nie jest niczym innym, jak tylko samą prawdą? Sądzę, że

będzie zgodne z prawdą, jeśli powiem, że nie miałem żadnej znajomości litery dogmatów, ale ich ducha przeczuwałem. Bardziej przeczuwałem te rzeczy, niż je widziałem, a wyczuwałem je dzięki niewysłowionemu działaniu, jakie na mnie wywierały. Wszystko odgrywało się w moim wnętrzu i te wrażenia, szybsze niż myśli, tysiąc razy głębsze od każdej refleksji, nie tylko wzburzyły moją duszę, lecz jakby odwróciły ją i nastawiły na nowy kierunek, na inny cel i nowe życie”.

To jest rzymska przygoda Alfonsa Ratisbonne'a. Odtąd — muszę dodać od siebie — świat dla niego nic już nie znaczył, jego zarzuty przeciw chrześcijaństwu zniknęły nie pozostawiając śladów, równie jak uprzedzenia jego dzieciństwa, a miłość do Boga zajęła miejsce każdej innej miłości.

Mogą zawodowi apostołowie prawdy, którzy powinni być intelektualistami, odrzucić ze swoich myśli objawienia z Loudres pod pretekstem, że Bernadetta Soubirous była małą dziewczynką. A małe dziewczynki (jak to się mówi) nie zawsze mogą odróżnić marzenie od rzeczywistości. Niech tak zresztą będzie. Mogą oni odrzucać opowiadania małych pastuszków z La Salette, którzy widzieli płaczącą Panią Świętą w górach Delfinatu; gdyż pastuszkowie bez podstawowego szkolnego wykształcenia mogą ulegać wpływom lub być ofiarami wzajemnie pobudzającej się autosugestii lub czegoś podobnego. To może jeszcze uchodzić. Można ostatecznie także moje świadectwo uważać za mało znaczące, ponieważ nie ma nic trudniejszego, jak rozumieć jakąś wizję bez obrazów albo wierzyć dziennikarzowi, który twierdzi, że znalazł prawdę. Sam to rozumiem, gdyż jakże jest trudno wiedzieć, a nie móc przekonać; jeszcze trudniej utrzymywać, że nie prze-

konuje się z powodu ubóstwa słowa i braku jego siły przekonywającej, ponieważ za mało ma się miłości.

Ale Ratisbonne? Synowie bankierów mogą równie jak inni ludzie podlegać halucynacjom, lecz w ogóle są wyposażeni w dostateczny intelektualny rynsztunek, aby zdawać sobie sprawę ze swego stanu, jeżeli nie natychmiast, to nieco później. Jest zadziwiające, że taki fenomen przynosi pacjentowi niezwykle wesele, powołanie, a ponadto nowy, całkowicie ukształtowany światopogląd. Jeszcze dziwniejsze jest to, że pomijając dwa albo trzy wielkie umysły, jak Henri Bergson lub Jean Guilton, żaden zawodowy myśliciel nie uważał za korzystne badać tak niezwykłą przemianę choćby tylko po to, by wyjaśnić sobie, jak młody człowiek obdarzony tak krytycznym zmysłem, jak tylko Żyd być może i równie wielkim realizmem, jak syn z dobrej rodziny w pełni świadomy swojej pozycji towarzyskiej — jak taki młody człowiek mógł całe swoje późniejsze życie oprzeć na kuglańskiej ułudzie zmysłów (a potem nie zastanawiał się, jak powrócić do normalnego stanu swego umysłu).

Pozostaje samo zjawisko. Ale już Rimbaud powiedział:

*Est-ce que l'on prie
la Vierge Marie? **

Już od wielu lat nie słyszy się wcale w kościele „Zdrowaś Mario”, chyba gdzieśgdzie w godzinach popołudniowych, w których rządzą się stare kobiety (o ile nie powierza się im wnuków na spacer). Na Mszy tylko archanioł Gabriel pozwala rozbrzmiewać swemu pozdrowieniu pod łukami

* Czy potrzeba się modlić do Maryi Dziewicy?

sklepień w dzień zwiastowania. Przy tym jest on kwestionowany przez niektórych kaznodziei. Uwierzyliby oni chętniej w zielonych ludzików z Marsa niż w aniołów. Znam bardzo dzielnego proboszcza spierającego się z archaniołem, by zmusić go do wyznania, że on nie egzystuje, a jest tylko ucieleśnioną emanacją podświadomości Marii, która nagle uświadomiła sobie zwiastowanie. Na końcu takiego kazania można pytać, dlaczego kapłani uznają za konieczne zapalać świece, gdy mówią o psychoanalizie.

Tak, gdyby zdetronizowana Matka Boska stała się potem przynajmniej kobietą, jak wszystkie inne. Ale nic z tego! Przypominam sobie gwałtowną kampanię prasową przeciw nauce o Marii jako „Pośrednicze”. Nie można Jej — powiedziano — przyznawać tego tytułu bez odbierania go Jej Synowi. Oznaczałoby to, że wszystkie kobiety wstawiające się przez całe życie do ojca za synem, rzucające się między człowieka a świat, pośredniczące między chłopakiem a dziewczyną, przyjmujące jako pierwsze wszelkie ciosy bytu, delegowane z urzędu (że tak powiem) do smutku i cierpienia — byłyby z natury pośredniczkami z wyjątkiem Matki Boskiej. A jak często ostrzegano nas przed przerostami pobożności, której zniechęcałe formy chętnie z przesadą malowano. Czyż nie szydzono z rzekomego wystawiania jej na pokaz, jak gdyby nasze stulecie skłaniało do mistycznych błędzeń? Czyż nie drwiono z bólu i cierpienia tych, którzy nie zachowali dla siebie ze świata nic innego, jak tylko małe paciorki różańca, owe ziarenka nadziei obejmowane pomarszczonymi palcami, jak gdyby miało to świadczyć o wyższości ducha?

Oczywiście, przytłaczająca masa gipsu o słod-

kim, kremowym kolorze, którą mam przed oczyma w kościele Świętego Antoniego, przypomina raczej o cukierniku niż o trudnych metafizycznych wspinaczkach w góry. Nieudolność przedstawiania nie przeszkadza wcale prawdzie, że Maria dzięki swej pokorze, czystości, swemu natychmiastowemu zdaniu się na słowo Boże, ma od początku rolę pośredniczki. Maria jest na styku między tym, co widzialne i niewidzialne, a Jej własne słowa, którymi określiła się sama jako „służebnica Pańska”, znaczą więcej niż niebiesko-złoty obraz zrezygnowanego, a potem triumfującego poddania się. Maria jest ewangelicznym pierwowozorem godzenia się z wolą Bożą i mało ma widoków zrozumienia Ewangelii ten, kto nie zatrzyma się na moment przed Nią i nie odmówi dla siebie samego „Zdrowaś Mario”. Modlitwa ta obraca pomału oś historii, by ją ukierunkować na wieczność.

Nie przypuszczam, by wszyscy czytali moją książkę *Bóg istnieje — spotkałem Go*, dlatego chcę umieścić tu kilka jej ostatnich stron. Opowiedziałem na nich moją własną historię, zanim (powtarzam to) poznałem przytoczony powyżej tekst Ratisbonne'a. Stawiam dwa sprawozdania jedno obok drugiego, ponieważ oba, prócz dziwnych zgodności co do zewnętrznych okoliczności, zawierają świadectwo gwałtownego uchwycenia przez jakąś potęgę, zdającą się wykluczać współudział wolnej woli (ale tak się tylko wydaje). Jeśli o tym mówię, wynika to przecież z faktu, że ja równie szybko nawróciłem się, jak beztroski gość kościoła S. Andrea delle Fratte, ale nie chcę przedstawić się jako drugi Ratisbonne. Równoległe podobieństwo między zdarzeniami nie jest porównaniem między dwoma osobami; chrześcijanie,

którzy komunikują się, czynią ostatecznie to samo, co apostołowie w Wielki Czwartek, a jednak nie myślą uważać siebie za jednego z nich.

Jak piszę więc, jest ósmy czerwca 1935 roku. Oddałem memu przyjacielowi książkę Bierdiajewa, którą mi pożyczył. Podobnie Ratisbonne zwrócił panu de Bussiéres rozprawkę świętego Bernarda (szczegół, o którym przedtem zapomniałem powiedzieć), która nie zrobiła na nim większego wrażenia niż na mnie Bierdiajew. Chcieliśmy razem pójść coś zjeść, zatrzymaliśmy się na ulicy Ulm. Moje myśli w tym momencie? Nie przypominam sobie. Chyba nieokreślone, tak jak zwykle. Mój duchowy nastrój? Spokojny, nie czułem ani troski, ani trwogi.

„Mój przyjaciel wysiadł, wsadził głowę przez okienko wozu i zapytał mnie, czy chcę mu towarzyszyć, czy wolę parę minut poczekać. Poczekać — powiedziałem. Prawdopodobnie miał do załatwienia krótką wizytę. Patrzyłem za nim, jak szedł przez ulicę i otwierał małe drzwi obok dużej żelaznej bramy, nad którą był widoczny dach kaplicy. Pięknie, chciał pójść pomodlić się albo wyspowiadać, poświęcić chwilę czasu jakiejś czynności, które zabierają chrześcijanom wiele czasu. Jedna przyczyna więcej, aby pozostać, gdzie byłem.

...Za dwie minuty będę chrześcijaninem.

Pozostawiony ateista, którym jestem, nie przeczuwam doprawdy niczego, gdy znużony oczekiwaniem, potrząsając głową nad nie kończącymi się, niezrozumiałymi praktykami nabożnymi mego towarzysza, teraz sam otwieram żelazne drzwi. Jako ciekawski albo jako plastyk chcę oglądnąć z bliska budynek, w którym on — jak mi się

wydaje — pozostaje całą wieczność (w rzeczywistości były to trzy albo cztery minuty).

Ostatnia część kaplicy jest jasno oświetlona. Na głównym ołtarzu, w całości utrzymanym w białym kolorze, nad olbrzymim zalewem kwiatów, świeczników i innych ozdób, góruje duży krzyż, kuty bogato w metalu, z matową szybką w środku. Trzy dalsze szybki tej samej wielkości, ale w białym kolorze o nieco innym odcieniu, są umocowane na końcach ramion krzyża. Interesując się sztuką wstępowałem już do niektórych kościołów, ale jeszcze nigdy nie widziałem tam ze zrozumieniem monstrancji z hostią ani też samej hostii. Nie wiedziałem, że mam przed sobą Najświętszy Sakrament, do którego wznosiły się dwa rzędy płonących świec. Dodatkowe białe szybki i przeładowane złote ozdoby czyniły mi jeszcze trudniejszym poznanie tego dalekiego Słońca, którym On jest.

Znaczenie tego wszystkiego uchodzi mojej uwagi, tym bardziej że go nie szukam. Stojąc obok drzwi wypatruję mego przyjaciela i nie udaje mi się go rozpoznać między klęczącymi postaciami. Mój wzrok wędruje od ciemności do światła, wraca z powrotem do obecnych ludzi nie wnosząc jakiegokolwiek myśli, ślizga się od wiernych do nieruchomo trwających zakonnic i pozostaje potem, nie wiem dlaczego, zawieszony na drugiej świecy, płonącej na lewo od krzyża (nie na pierwszej, nie na trzeciej, lecz na drugiej). W tym mgnieniu oka zerwała się nagła fala cudów, której niewyrażalna siła w jednym momencie z absurdalnej istoty, jaką jestem, zrywa powłokę, aby dziecko — którym nigdy nie byłem — oślepię od blasku, przywieść do światła dziennego.

Przede wszystkim zostają mi dane słowa „duchowego życia”.

One nie są do mnie skierowane, nie formułuję ich sam, słyszę je jakby wypowiedane obok mnie cichym głosem przez osobę, która widzi, czego ja jeszcze nie widzę.

Zaledwie ostatnia sylaba tego cichego prologu osiągnęła próg mojej świadomości, lawina zrywa się od nowa. Nie mówię: niebo się otwiera. Nie, ono się nie otwiera, lecz nagle spada na mnie. Od kaplicy, gdzie On (jak mogłem to przypuszczać) w tajemniczy sposób był zamknięty, wystrzela w górę jakby błyskawica. Jak mogę przedstawić to nędznymi słowami, które odmawiają mi służby i grożą przerwaniem myśli, aby oddalić je do magazynu urojeń? Malarz, któremu byłoby danym oglądać nieznanne kolory, czym mógłby je malować?

To jest niezniszczalny kryształ nieskończonej przejrzystości, jasności prawie nie do zniesienia (jeden stopień więcej byłby mnie zniszczył) lekko niebieskiego światła. To jest inny świat takiego blasku i gęstości, że nasz świat osuwa się przed nim do rozwiewających się cieni niewyśnionych marzeń. To jest rzeczywistość, to jest prawda. Widzę ją z ciemnego brzegu, gdzie trzymam się jeszcze silnie. To jest ład we wszechświecie, a na jego wierzchołku, po tamtej stronie lśniącej zasłony z mgły, jest Oczywistość Boga, Oczywistość, która jest Obecnością, Oczywistość, która jest Osobą. Osobie Tej jeszcze przed sekundą przeczyłem. Chrześcijanie nazywają Ją „Ojcem naszym”. Jej łagodnej dobroci doświadczam na sobie, łaskawości, której nie dorówna żadna inna.

Nie jest ona ową — jak ją czasem określają — pasywną właściwością, lecz aktywną, przenikającą łagodnością, która przewyższa wszelką pomoc, jest też zdolna przełamać najtwardszy kamień i co jest twardsze niż kamień — ludzkie serce.

Temu przewyciężającemu wtargnięciu towarzyszy radość, która nie jest niczym innym, jak entuzjazmem uratowanego od śmierci, właśnie w samą porę wydobytego morskiego rozbitka. Różnimy się zapewne tym, że dopiero w momencie, gdy wracam do zdrowia, uświadamiam sobie, w jakim błocie bezwiednie byłem pogrążony i pytam się — choć jeszcze w połowie w tym tkwię — jak ja mogłem tam żyć i oddychać.

Równocześnie zostałem obdarowany nową rodziną: jest nią Kościół, którego zadaniem jest prowadzić mnie tam, dokąd muszę iść; ponieważ jest jasne, że wbrew pozorom pozostaje jeszcze do przebycia kawał drogi, którą można postępować w górę tylko przez odwrócenie siły ciężkości.

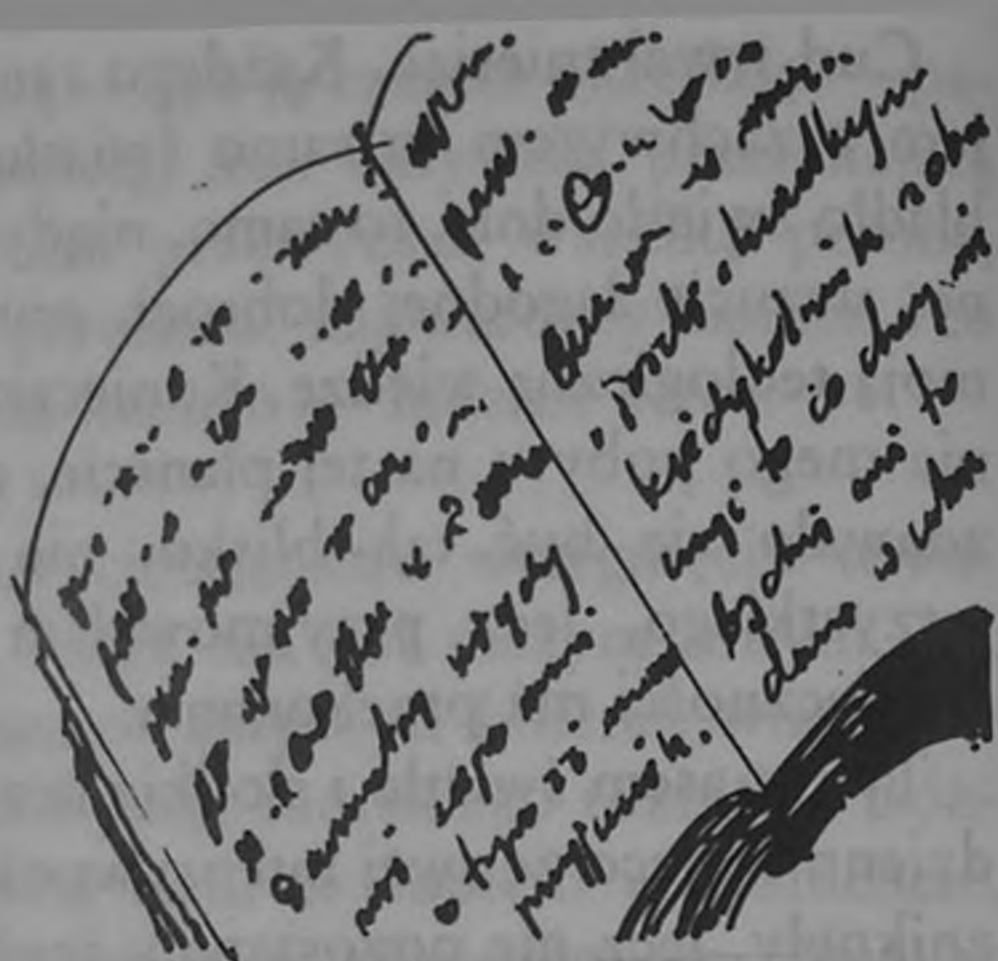
Wszystkie te uczucia, które staram się przenieść na bezsilną mowę myśli i obrazów, są równocześnie jedne zamknięte w drugich i po latach nie wyczerpałem jeszcze ich treści. Wszystko jest opanowane przez Obecność oddaloną i pozostającą jednocześnie w nieprzejrzanym zgromadzeniu nas wszystkich. Kościół jest ośrodkiem przybywającej obecności Jedynego, którego imienia nigdy więcej nie będę mógł napisać bez trwogi, że zranię Jego miłość. Stoję przed Nim jak dziecko, któremu przypadło w udziale szczęście otrzymania przebaczenia. A to wszystko — jak się dowiaduję — jest darem.

Cud trwał miesiąc. Każdego ranka odnajdywa-
łem z zachwytem to samo światło, przy którym
bladło światło dnia, to samo, nigdy nie zapomnia-
ne, uczucie łagodnej dobroci, porządkujące całą
moją teologiczną wiedzę. Konieczność przedłuże-
nia mego pobytu na tej planecie, gdy owo niebo
zdawało się być tak blisko, nie wyjaśniała mi
wszystkiego, lecz przyjmowałem ją bardziej z
wdzięczności niż przekonania.

Tymczasem światło i słodkie uczucie traciło co-
dziennie nieco ze swej intensywności. Ostatecznie
zniknęły, lecz nie pozostawiły mnie w samotnoś-
ci.

Darowano mi teraz prawdę w inny sposób:
znalazłszy — winieniem był ją poznawać”.

4



Ten tekst, przeciw któremu podnoszono często zarzuty, że jest za krótki i tym samym mało jasny, nasuwał pytania; znajdują one pośrednio lub bezpośrednio odpowiedź w dalszym ciągu opowiadania.

Każde z wyrażen użyte na poprzednich stronach było dwukrotnie wyważone: po raz pierwszy przeze mnie samego z nadzwyczajną sumiennością, gdyż nie igra się swoim życiem zonglując niejasnymi słowami, zaś drugi raz przez dominikanina, ojca Jean de Manasce. Był to człowiek, który potrafił czytać. Znał szesnaście języków, w tym trzy lub cztery, które dla reszty ludzkości są nieznanne, wyjąwszy kilku zaledwie ekspertów minionych kultur. Z nimi korespondował przy pomocy własnego, dla nich wynalezione alfabetu, dla innych zaś trudnego do odcyfrowania. Jego umysł pracował z wyjątkową szybkością. Pierwsze słowo wskazywało mu kierunek myśli jego rozmówcy i przebiegało jej drogę tak szybko, że mógł drugie wypowiedzieć już razem z nim. W jego pochodzeniu mieszały się różne źródła: judejsko-egipskie, jak też chrześcijańskie, krew francuska, szwajcarska, a może i angielska (tego

dobrze nie wiem, bo nigdy nie trudziłem się, by to poznać). Wychowany w Oxfordzie, nawrócony na katolicyzm, związany przyjaźnią z wszystkimi możliwymi sławami wszelkiego rodzaju, był nie mniej życzliwy dla małych i dzieci. Jeden z owych szczególnych ludzi, którzy śpią na żelaznym łóżku w pokoju przedzielonym parawanem, a na Nowy Rok otrzymują życzenia od Einsteina lub królowej angielskiej. W młodości nie należał właściwie z powodu cierpkości swojego myślenia do wyrozumiałych. Jednak w miarę wieku, gdy rozwijał się coraz bardziej w rabbiego z czarnym kapturem, który zagrzebał się w swoich książkach i papierach (tych pisanych od prawej strony ku lewej), przyszła najpierw wyrozumiałość, potem łagodność, wreszcie miłość. Był jedynym człowiekiem na świecie, który nigdy nie zapomniał pewnego dnia w roku, kiedy moja żona i ja jesteśmy sami z naszymi łzami, okazać nam współczucia. Przy końcu swego życia zupełnie bezwładny po szeregu ataków apoplektycznych ukrył swą wiedzę i humor w głębi swego własnego Ja, która pozostała nietknięta (podobnie jak ucieka się z dobytkiem, który można uratować, do ocalałego kąta zburzonego domu). Byliśmy za świadków, gdy zaczęła się osobliwa męka tego człowieka, zawsze w pełni świadomości. Kiedy bez skargi ciągnął swoje pobite ciało z Getsemani na Golgotę, wtedy pojęliśmy, że nigdy nie wykorzystaliśmy dostatecznie łaski, która stała się naszym udziałem, tak długiego posiadania świętego za przyjaciela.

Zawsze wszystko, co pisałem, poddawałem jego osądowi, który był dla mnie prawem. Dotyczyło to jednak tylko kwestii religijnych. Dziennikarstwo ze swym zawodowym pośpiechem i gwałtownością raniło jego delikatność. Bronilem przed

nim swego mniemania, że między tym, co wiemy o niebie a tym, co przeżywamy na ziemi, istnieje przeciwieństwo, dlatego ironia jest ciągle najłagodniejszym środkiem, by wyrazić swoje zdziwienie. Widziałem jednak, że nigdy nie uznał moich pięknych argumentów, a ten rodzaj „literatury” i sposób, w jaki się ją wykonywało, tak samo nie podobał się jego sumieniu uczonego, jak i powściągliwości starego oxfordczyka. Gdy mi oddawał manuskrypt książki *Bóg istnieje — spotkałem Go*, powiedział tylko jedno: „Niech pan nie zmieni z tego żadnego słowa!” To samo powtórzył w dwa dni później mojej żonie: „ani słowa!” Sądził, że nie ma także potrzeby uzupełnienia i że jest zbędne wypowiadać się wyraźniej niż to zrobiłem. Kilka późniejszych nieporozumień wykazało jednak, że nie miał racji. Gdy ogranicza się słowa, aby pozwolić prawdzie wystąpić bardziej przekonująco, może się zdarzyć, że zawęzi się także myśli; bo gdy są zbyt lakoniczne, mogą stać się niezrozumiałe.

I tak na przykład za mało podkreśliłem w mojej książce obiektywny charakter tego zdarzenia.

Nie śniłem.

Na to nie trzeba dowodu. Nie istnieje sen, który zaczyna się codziennie w tym samym punkcie, gdzie ustał w poprzednim dniu. Poza tym, gdybym nawet śnił, samo życie wzięłoby to na siebie, by mnie obudzić.

To nie było urojenie. Gdyby moja fantazja brała w tym udział, wytworzyłaby obrazy. Tu jednak nie istniały żadne obrazy i to właśnie utrudnia przedstawienie tegoż. Jeśli posługuję się obrazami, to właśnie z braku lepiej dostosowanej mowy

do spraw czysto duchowych. Wyjaśnię bliżej to zagadnienie, gdy będę mówił o „innym świecie”.

To było obiektywne doświadczenie. Chcę powiedzieć, że radość nie wstąpiła we mnie jak po powiadomieniu o wielkim szczęściu lub powrocie, którego się nie oczekiwało. Radość przeszła nade mną jak fala światła z nieprzepartą, a zarazem delikatną siłą. Ogarnęła mnie niespodziewanie, jak kąpiącego się na brzegu może zaskoczyć nagła fala, której nadejścia nie widział. Muszę jeszcze dorzucić, że nie miałem świadomości znajdowania się na brzegu oceanu. Powiedziałem i powtarzam: Towarzyszyłem mojemu własnemu nawróceniu ze zdziwieniem, które jeszcze trwa. „Pięknie — powiedziano mi — jesteś tym, co z ciebie zrobiono. Twój ojciec jest socjalistą, ty jesteś socjalistą. Pojawia się Bóg i ty jesteś chrześcijaninem. A twoja wolna wola? Gdzie jest twoja osobowość?”

To prawda, że nie poznałem się z chrześcijaństwem jako dorosły, który jest świadomy swego kroku, zna treść swojej wiary, rozważył i za, i przeciw, możliwe i niemożliwe. To prawda, że wstąpiłem do owego kościoła bez zastanowienia się i nie rozważyłem tam żadnego argumentu. To prawda, że nie współubiegałem się o łaskę, nie rozmyślałem nad ofertą i bez oporu dałem się przewyciężyć radości. Godzę się na to, przyznaję i pójdę nawet tak daleko, że nigdy nie będę się rumienił z powodu mej pasywności wobec osławionego, starodawnego pytania „liberum arbitrium”, gdyby mi się go nie narzuciło. Zmusiłem się do zastanowienia, musiałem odbyć z powrotem kawał drogi, by znaleźć odpowiedź, która jest prosta jak większość odpowiedzi na zawiłe pytania.

Stopniowo dochodziłem do poznania, kiedy powoli przyswajałem sobie pewne doświadczenie świata, że wolność ma dwa znaczenia lub dwa bieguny, może iść w kierunku potwierdzenia lub przeciwnie, zaprzeczenia owego „Ja”. (Gdyż prawdą jest również, że dowiedziałem się o innym świecie, zanim o tutejszym zostałem prawidłowo poinformowany.) Pascal określa słusznie to „Ja” jako „warte nienawiści”, gdyż uważa ono siebie za tak dobre, że wkrótce zaczyna nienawidzić wszystko, czego wchłonąć nie może. To „ja”, któremu zawsze czegoś brak, aby być sobą, przypomina państwo, które stale chce rozszerzać swe granice, a trzeszczy od środka; to „ja”, które jako „wolne stworzenie” to tylko rozumie i to robi, „co chce”, podczas gdy naprawdę wolnym stworzeniem jest ten, kto potrafi także to czynić, czego nie chce. Taka wolność jest wolnością demagogów i ideologii. Obiecuje radość, a rodzi obojętność, prowadzi do zagęszczenia i stwardnienia różnych egoizmów, judzi je przeciw sobie nawzajem i wydaje w końcu pierwszemu lepszemu despotyzmowi, który rzuca je swoim psom.

Wolność w drugim znaczeniu odciąża stworzenie od ciężaru jego własnej natury, odrywa je od siebie samego ze względu na miłość do innego lub innych. Robi to na podobieństwo Boga, który zawsze jest gotowy unżyć samego siebie, aby uczynić się dostępnym pod postaciami chleba i wina. Wolność ta nie umacnia się przez to, co drugiemu bierze, lecz przez to, co mu daje.

Fałszywa wolność, która obiecuje zrobić z człowieka małego bożka, kręcącego się dokoła siebie jak dokoła słońca, jest tylko kłamstwem i kończy się w rozpaczliwych formach moralnego i politycznego zniewolenia.

Prawdziwą wolnością jest ta, która używa zdolności kochania. W tym sensie wolność jest tylko inną nazwą miłości.

O ile ma ona ostatni wyraz w Bogu, nie ma też żadnego innego źródła i żadnej innej poręki niż Jego. Przez Niego i tylko przez Niego samego mamy możliwość ujść determinizmowi natury i mechanizmowi ucisku. Przez Niego i tylko przez Niego samego będzie to możliwe, że nic przypadkowego nie będzie stanowić o naszym losie. „Prawda was wyzwoli” — mówi Ewangelia. Boska prawda temu, kogo oświeci, nie odbiera wolności, lecz ją przynosi. Dlaczego i jak miałbym przeciwstawić MU moją wolną wolę, którą właśnie dopiero co odkryłem, gdy ON stał się moją wolnością?



Czyż mogłem odtąd bez lekko ściśniętego serca wstępować do tego kościoła cudownych przeżyć, gdzie miałem szczęście być obecnym przy moim własnym narodzeniu? Gdy opuściłem kaplicę przy ulicy Ulm, wiedziałem o czterech sprawach, które stale jeszcze budzą moje zdziwienie: istnieje inny świat; Bóg jest Osobą; my jesteśmy w paradoksalny sposób uratowani, a jednak jeszcze stale zagrożeni; Kościół jest instytucją Boską.

To, co będę mówił, pochodzi z doświadczenia, a nic nie zawdzięcza teorii. Nigdy nie rozważałem o Kościele, równie jak nigdy nie brałem mojej babki za temat do medytacji. Nigdy nie myślałem, aby zagłębiać się w rozważaniach nad moją babką albo krytykować pieśni, które mi śpiewała. Ich tekst nie miał znaczenia, ważne było to, by siedzieć na jej kolanach i wiedzieć, że nikt i nic mnie stamtąd nie przepędzi, nawet koniec świata lub sen (co zresztą wychodziło na jedno).

Kościół także śpiewa i zdarza się na tej ziemi, że śpiewa fałszywie. Lecz czy to jest rzeczywiście Kościół, ten wąski, widoczny dla nas segment ogromnej kuli, której obwodu jeszcze nikt nie

zmierzył i która przechodzi przez nieskończoność? Któż wie, gdzie się Kościół zaczyna i gdzie kończy, kto do niego należy, a kto jest wyłączony lub, lepiej powiedziawszy, kto się z niego wyklucza; bo nie mogę sobie wyobrazić, że Kościół mógłby kogoś odrzucić. Z tej olbrzymiej ilości zwróconych ku światłu twarzy widzimy tylko jak z dziobu dolną część okrętu, która z nami jest zanurzona w mule ziemi, a na tym zamulonym, przez sól nadżartym kawałku, wieszają się krytycy jak małże. Ale reszta, która nad wodą świeci...

Kościół jest Boskiego pochodzenia, ponieważ Bóg jest tym, który powierza mu duszę, a nie odwrotnie, jak sądzą niektórzy biurokraci zakrystii, wybierający dzieci do chrztu. Nie przyniosłem mu mojego członkostwa, zostałem doprowadzony jak dziecko za rączkę do szkoły lub przyniesiony rodzinie, która go nie знаła. To uczucie cichego zespolenia między Kościołem i pierwiastkiem Boskim było tak silne, że powstrzymywało mnie zawsze od dostrzegania czegoś z błędów popełnianych z wieku na wiek przez reprezentantów Kościoła, od brania części za całość, kropielnicy z bazyliki św. Piotra za Morze Tyberiadzkie, a teorii kanoników z Notre Dame za Kościół. Dlatego nie odczuwałem najlżejszej pokusy, by wyrokować w tych kwestiach i rzucić tym samym przysłowiowy pierwszy kamień: to, co Kościół ma ze świętości w niewidzialnym, przewycięża mnie, a co wykazuje ze słabości i niedoskonałości, uspokaja mnie i zbliża go do mnie. Bowiem przypadkowo także nie jestem doskonały.

Kościół od pierwszego dnia jawił mi się piękny. Często pytali mnie ochrzczeni od dzieciństwa (z miną tubylców, którzy mogli usłyszeć mniemanie obcokrajowca o najnowszych dekreтах rządu),

czy Kościół nie zawiódł młodego konwertyty, jakim byłem. Ci ludzie nie mieli żadnego wyobrażenia o olbrzymim kontraście, jaki tworzy Kościół z ubogim ideologicznie domem mego dzieciństwa. (Muszę mego ojca i dzielnych ludzi, którzy nauczyli mnie respektować ich przykład, bardzo prosić o przebaczenie). Żyło się tam — jak teraz widzę — z kilkoma obcymi swemu celowi, odciętymi od naturalnych korzeni, zapakowanymi w konserwach, chrześcijańskimi ideami, które groziły wysadzeniem cienkiego wieka.

Chrześcijaństwo i Kościół mają kolory życia i nawet mnóstwo jego niewinnych, pobożnych obrazów i dewocjonalii wydawało mi się tryskać zdrowiem w porównaniu z zastarzałą jednostajnością duchowych konstrukcji, z których wyszedłem. Bawiłem się myślą, że intelektualiści przy swoim wejściu do nieba znajdą je jako karę za swoje grzechy całkiem podobne do kościoła Saint Sulpice i nad tym będą z ulgą płakać z wdzięczności.

Ale skąd mogłem dowiedzieć się czegoś korzystnego i odpowiadającego prawdzie o Kościele? Moje książki, Voltaire, Rousseau, moi propagatorzy filozoficznej nicości i moi mieszczańscy fabrykanci wojenni nie mówili do mnie o nim nigdy inaczej, jak tylko wyrażając się pogardliwie. Czepiali się jego słabości i podkreślali błędy, nie wspominali zaś jego błogosławionych czynów. Nie przyjmowali do wiadomości jego wielkości, której blask zapewne od dawna stracili z oczu, całkowicie i zupełnie zajęci sobą, trwożliwie rozważając jakimi są, unikając każdego słowa podziwu, jak gdyby wypowiedzenie go było poniżeniem.

Kiedy pomyślę, że ten Rousseau, którego w młodości tyle razy czytałem i prawie kochałem, mógł żyć przez dwa lata w Wenecji i z tego fantastycznego miasta nie przywieźć do domu żadnego innego zysku, jak tylko wspomnienie swoich wiecznych przykrości z władzami i nieudanych przygód miłosnych; czyż nigdy nie spojrzął na cudowny świat wokół niego, na fatamorganę pomnożoną w zwierciadłach wody i w blasku ich szklanych cudów?...

Moje książki uznawały dawną potęgę Kościoła, ale tylko po to, by lepiej móc oskarżać za użytek, jaki z niej robił. Historia Kościoła była dla nich historią długiej i skutecznej walki o panowanie, prowadzonej pod maską miłości bliźniego. Kościół według nich głosił pokorę, aby osiągnąć uległość i uczył nadziei, aby nie słuchać mówiących o sprawiedliwości. Książki te wspominały chętnie o trybunale inkwizycji, o wojowniczych papieżach, ale nigdy o męczennikach Kościoła, o świętych, z wyjątkiem Joanny d'Arc, ponieważ stała się ofiarą kleru oraz świętego Wincentego a Paulo, którego miłosierdzie wysuwało na światło nędzę i stosunki społeczne jego czasów. Moje książki okazywały się wymowne w odniesieniu do politycznej głowy ziemskiego Kościoła, a nieme na temat jego ewangelicznego serca; wiedziały wszystko o despotycznych rządach Juliusza II, a nic o poetyckich zachwyceniach świętego Franciszka z Asyżu.

Owe pisma nie powiedziały mi, że chociaż Kościół prowadził na tym świecie nie zawsze dobrą walkę, to jednak ustrzegł wiary, która sama mogła być zrobić z tej ziemi przyjazny przystanek; że dał nam oblicze, nam, którzy nie wiemy zbyt dokładnie, czy jesteśmy bogami, czy robakami

w mule, najwyższymi ozdobami we wszechświecie, czy mieszaniną molekuł na działce błotnistej ulicy, zagubionej w oceanie milczenia. On wiedział (a w tym wieku strachu, deportacji i masowych mordów widzimy, iż on sam tylko to wiedział), że człowiek jest stworzeniem, którego ostateczny tylko cel liczy się dla Boga.

Nie, moje książki nie powiedziały mi, że: Kościół uratował nas przed wszystkimi potwornościami, wobec których jesteśmy bezbronni, jeśli go nie słuchamy lub jeśli on sam milczy; jego przyrzeczenia wieczności uczyniły każdego z nas niezastąpioną osobą (zanim nasze zrzeczenie się wieczności postarało się zrobić z nas przemijające, z rdzenia i śluzu molocha odnawiające się cząsteczki); jego cmentarze nie były według słów jakiegoś cynika pełne „ludzi uważających się ze niezbędnych”, lecz strzegły tam jak skarbu niedotykalnego prochu, z którego pewnego dnia podniosą się obudzone ciała; jedyne okna, które kiedykolwiek wyłamano w murze otaczającej nas nocy to były jego dogmaty, a obyte łzami posadzki jego katedr jedyną drogą do radości, którą kiedykolwiek udostępniono.

6



Bóg ratuje nas, a to nie jest łatwe. Jeśli się nie posiada przyrodzonej lub przez godną polecenia mądrość uzyskanej pokory, jeśli się nie miało, choćby tylko przez moment, uczucia oślepiającej czystości Boga, można źle osądzić tę trudność; mogła ona polegać na tym, jak zjednoczyć na zawsze Istotę, którą On jest, z tą, którą my jesteśmy. Jeżeli w sprawozdaniu o moim nawróceniu mówię „o radości uratowanego od śmierci, właśnie w samą porę wyłowionego rozbitka” i twierdzę, „że dopiero w tym momencie, gdy powrócę do zdrowia, uświadomię sobie, w jakim błocie bezwiednie byłem pogrążony” i pytam się, „który jeszcze w połowie w tym tkwię, jak mogłem tam żyć i oddychać” — to korzystam z obrazów. Te obrazy oddają wiernie rzeczywistość, czego nie zdołają osiągnąć abstrakcyjne pojęcia: Bóg nie jest dialektycznym dymem.

Tak, tkwiłem w błocie bezwiednie i dowiedziałem się o tym dopiero gdy z niego wyszedłem. Czy byłem więc rzeczywiście tak wstrętną istotą? Z pewnością byłem bogato wyposażony w bezwstyd ignorancję, zarozumiałość i wszystkie inne „piękne” właściwości, które podziwia się w mło-

dości. Nie czułbym się w stanie dorównać w tym dobremu Rousseau, który na początku „Wyznań” wzywa całą ludzkość przed najwyższy trybunał, aby postawić wyzywające pytanie, czy choć jeden jedyny z jego towarzyszy odważyłby się określić siebie jako lepszego niż on. Ale ostatecznie nie przedstawiałem się jednak jak nadzwyczajny moralny dziwoląg, byłem równie skłonny do złego, jak i do dobrego, nie byłem potworem — powiedziano by mi to. Mój ojciec określił mnie jako beznadziejnie niezręcznego — i to było wszystko. Villemain uważał mnie za ograniczonego, ale nie za skończenie przykrego.

A jednak, co za błoto kapało ze mnie w słońcu! Czy wytworzyłem je osobiście? Nie wierzę. To była po prostu łagodna przemoc tego światła przede mną, która mi odsłoniła moją nędzę; przy czym nie domieszały się wyrzuty sumienia ani żal czy uczucie winy, lecz o wiele bardziej pewien rodzaj zamętu, przy którym człowiek wydaje się jakby uderzony w głowę i uczucie to skłania raczej do usprawiedliwień niż do spowiedzi. Byłem rzeczywiście w mojej radości niepoczyszony, że za tyle piękna nie mogę zaoferować nic innego, jak tylko mało ważną personifikację nicości.

Później o wiele lepiej zrozumiałem upór, z jakim święci, najlepsi przecież z ludzi, dążyli do wypalenia się w skrusze. Mogłoby to wyglądać na afektację pokory, gdyby nie było bezpośrednim następstwem tej, mniej lub więcej wyraźnie, odczuwanej Obecności, w której żyli, która ich wzywała do nieprawdopodobnej przyjaźni. Obecność ta, wiążąc bezprzykładną wspaniałomyślność ze swą nieskończoną chwałą Bożą, zmieniała ich zdziwienie we wdzięczność, a wdzięczność w uwielbienie. Święci wiedzieli siłą dobroci swego

serca to, czego ja nauczyłem się bez trudu, zasługi i wysiłku, że ze wszystkich darów Boga pierwszym i najbardziej zdumiewającym jest Jego miłość do nas, którzy znaczymy tak wiele w porównaniu ze światem materialnym, a niczym jesteśmy wobec Boga. Drugą prawdą nie mniej ważną jest miłość do Niego, którą On nam darowuje. Przy tym jednak ta miłość, która przychodzi od Niego, musi stawać się inną, gdy do Niego wraca.

To, czego nie mogę inaczej nazwać, jak moim duchowym przerażeniem, widzieć siebie tak wstrętnym, pomogło mi lepiej zrozumieć, dlaczego Bóg nie za często manifestuje się w tym życiu. Mówi się, że wszystko byłoby o wiele prostsze, gdyby nasze oczy mogły Go widzieć, gdy prowadzi nas po wszystkich naszych drogach, aby wziąć nas u schyłku do siebie w swojej nieskończonej dobroci. Czy nie bylibyśmy lepsi (wyjąwszy Jana Jakuba, który nie mógł być lepszym), czy ludzie nie rozumieliby się lepiej nawzajem, czy serce nie stawałoby się łagodniejsze, a modlitwa łatwiejsza, gdyby przynajmniej od czasu do czasu mogli spojrzeć w ów świat, w którym wszystkie problemy znajdują rozwiązanie w miłości? Bergson* pisze: „Przyjmijmy, że dosięga nas światło z jakiegoś nieznanego świata, dostrzegalne dla oczu naszego ciała. Jakaż zmiana dokonałaby się w ludzkości, przyzwyczajonej w ogóle (zawsze to mówię) przyjmować to tylko za istniejące, co widzi i czego może dotknąć. Informacja, która doszłaby do nas w ten sposób, dotyczyłaby

* Henry Bergson (1859—1941). Cytowane przez Jeana Guittona w *Dziłach wybranych*, str. 30

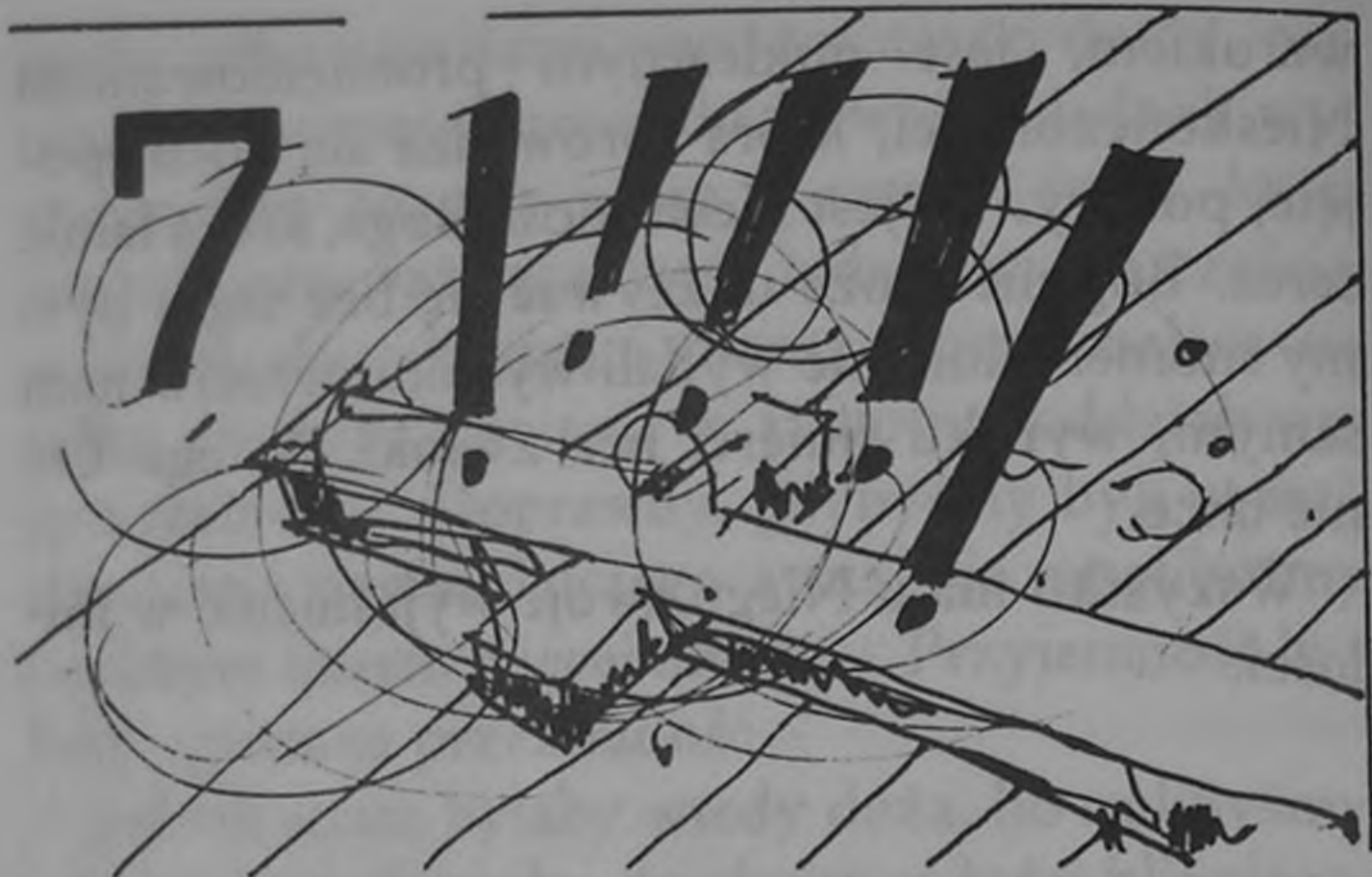
może tylko najniższej warstwy naszej duszy, najniższego stopnia naszej duchowości. Jednak wystarczyłoby to, aby wiarę w tamten świat, którą posiada przeważająca część ludzkości, najczęściej przecież abstrakcyjną i bierną, ograniczającą się tylko do słów, zamienić w żywotną, oddziaływającą realność... Doprawdy, gdybyśmy byli pewni, absolutnie pewni dalszego życia, nie moglibyśmy o niczym innym więcej myśleć... Przyjemność byłaby zgaszona przez radość.

Jednak strata byłaby wtedy duża, bo stalibyśmy się przez to niezdolni do aktów miłości bliźniego, które u jednych zakładają wiarę, ale u wszystkich wolność woli i bezinteresowność czynu. To, co było możliwe w stanie łaski w raju, wtedy, gdy wizerunek Boga (dla nas stracony) był jeszcze tak doskonały, że aniołowie (jak mówi Talmud) wahałi się domagać miejsca między Bogiem a człowiekiem, to nie jest możliwe w stanie duchowej degradacji, w której się znajdujemy, nawet nie wiedząc o tym. Nasza zdolność przestawiania prawie momentalnie na nowo naszego duchowego świata i jego systemu powiązań na każdym dowolnym poziomie pozbawia nas pamięci o tym, co straciliśmy, skoro tylko wступujemy jedno piętro głębiej. Tylko porównanie z Bogiem może nam umożliwić uświadomienie gęstej ciemności, w której poruszamy się całkiem naturalnie, nawet z elegancją.

Jednak skutek może nawet być pod wieloma względami niszczący. To nie wszechmoc Boga nam zagraża, nie to, co nazywa się Jego chwałą (słowo, które straciło swój prawdziwy sens, a jest obciążone retoryczną emfazą i niszczącymi akcesoriami). Jeśli czegoś można się obawiać, to Jego łaskawości. Co ukrywa Jego miłość przed naszymi

wzrokiem, jest nuklearnym promieniowaniem
Nieskończoności, która sprowadza się do niepo-
jętej pokory. To jest niewinność Boga, która łamie
serca. Bóg nie może ukazywać się bez tego, byś-
my momentalnie nie wydali wyroku przeciw nam
samym, wyroku śmierci bez zwłoki. A tego On
nie chce.

Wszystko ma u Niego swoje wyjaśnienie w mi-
łości.



Idée fixe pewnych „teologów” jest umniejszanie Boga. Zaiste ambitna myśl! Koniecznie chcą Go wykreślić z chrześcijańskich rozmów, wcielić w Jego własne dzieło stworzenia, poddać Go ewolucji i zmianom, tak by nie miał własnej egzystencji, a nasza historia była Jego historią. Usiłują wmówić, że Bóg razem ze wszystkimi innymi rzeczami wznosi się spiralnym ruchem jako pewnego rodzaju kosmiczne monstrum bez głowy, z ruchomym ogonem, które pozostawia za sobą jak żmija wyschlą skórę. Tu już nie można mówić o „teologach”, to są rabini-cudotwórcy. Już jeden z nich w nieludzki, budzący zdumienie sposób, załatwił w czterech słowach problem zła i cierpienia, które uznał za odpadki i śmiecie pozostawione przez Boga Człowieka w Jego triumfalnym pochodzie do dokonania. Krzyż Chrystusa odpadem? Rzymscy żołnierze, którzy rzucili ten krzyż na wysypisko śmieci, wyprzedziliby więc tylko teologów XX stulecia. Żegnaj miłości, litości, ceno zbawienia! Nie będziecie pocieszeni, ponieważ nie istniał Pocieszyciel. Uwolnijcie się od waszych trosk, skończcie z waszymi cierpieniami, zapomnijcie o nich! Niczego wam nie obiecano

oprócz widocznego rozwoju *idée fixe*. Nawet nie będziecie mieć tej satysfakcji, by ją poznać na końcu wydłużonej alei kłamstwa, cierpienia i gwałtu. Biedne stracone łzy, które będą daremnie odzwierciedlać wszechświat we wszystkich kolorach tęczy.

Czy nie słyszano niedawno temu pewnego myśliciela w kapłańskich szatach wołającego przed zgromadzeniem katolickich i protestanckich dygnitarzy (z których ani jeden nie postawił wniosku, by rozwiązać posiedzenie na znak żałoby), że „dzisiaj nie ma już żadnego poważnie myślącego teologa, który broniłby idei osobowego Boga”?

Nie lubię wyrażenia „osobowy Bóg”, które pachnie wątpiącym teologiem i budzi obce chrześcijaństwu wyobrażenie despotycznej, wyłącznie koło siebie krążącej, wszechmocy. A jednak Bóg jest Osobą, która nie może powiedzieć o sobie nic ponad słowo „Ja jestem”.

Nie jest wcale zaskakujące, że „poważnie myślący teologowie” nic o tym nie wiedzą. Odwracają oczy i psują je sobie czytając Stary i Nowy Testament przez materialistyczne okulary, które im w każdym wierszu dają do zrozumienia, by nie ufali swej szacie kapłańskiej. A jednak dalej wykonują swe zadanie i zamiast przekazywać nam najwyższe prawdy w pojęciach, które byłyby przystępne naszej słabej możliwości pojmowania, najprostsze prawdy tłumaczą wprost przeciwnie w mowie niezrozumiałej nawet dla samych serafinów. Jeszcze jeden mały wysiłek i dojdą do tego punktu, jak w Średniowieczu słynny Dawid de Dinant, który nazwał Boga pramaterią. „Nowe, Madame — powiedziała do Marii Antoniny jej modystka — jest to, o czym był czas zapomnieć”.

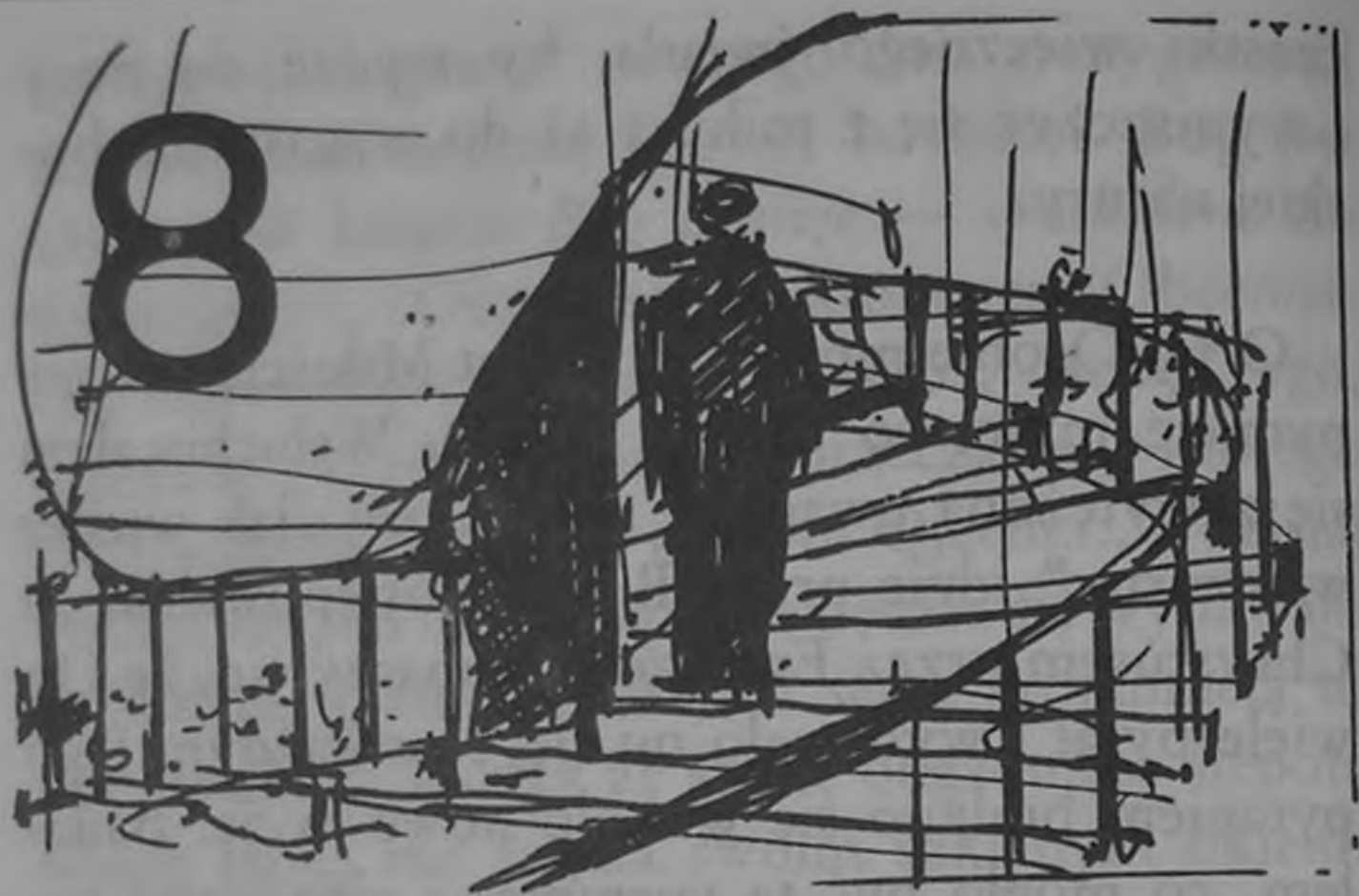
Zapewne stanie się konieczne, by „poważnie

myślący teologowie” pewnego dnia zrezygnowali ze swej immanentnej jałowej boskości. Bóg jest Osobą. W książce *Bóg istnieje — spotkałem Go* napisałem: „...Oczywistość, która jest Obecnością, oczywistość, która jest Osobą, osobę Tego, któremu przed sekundą zaprzeczałem, którego chrześcijanie nazywają naszym Ojcem..., a dzisiaj dodam coś, co może logikom będzie się wydawało absurdem. Jednak kochające serca zrozumieją to bez trudu, ci, którzy ze swoją odgadującą ślepotą widzą lepiej niż logika swoim szklanym okiem: Bóg nie tylko jest Osobą, lecz dla tych, którzy Go kochają, jest w Jego Osobie coś, co wyprzedza Jego Boskość; nie dlatego, że jest Bogiem, jest godny uwielbienia, lecz jest Bogiem, ponieważ jest godny uwielbienia”.

„Czyż nie potrzeba było, aby Chrystus cierpieł i tak wszedł do chwały swojej” — mówi Jezus do uczniów zdążających do Emaus, którzy właśnie rozmawiają między sobą o Jego męce, nie rozumiejąc jej. Gdy czytam te słowa, chciałbym najchętniej biec prosto do Emaus, aby Mu powiedzieć zanim zniknie: „Po tym właśnie poznaje się Ciebie!” Gdyż w Bogu samozaparcie wyprzedza potęgę, królestwo przychodzi po ofierze, jak w nas słowo „Bóg” przychodzi po zdumieniu; i wiemy bardzo dobrze, że to słowo nie wystarcza, by oznaczyć tę Istotę, która jest najczystszym oddaniem się, daniem bez zastrzeżeń. Gdy Chrystus w ostatniej chwili na krzyżu mówi to niepojęte: „Boże, mój Boże, czemuś mnie opuścił?”, wtedy rozpoznajemy w Nim więcej niż kiedykolwiek Boską Osobę, która sama obdarowując jest zdolna nie zatrzymać nic z siebie dla siebie, jest zdolna wyrzec się najdrobniejszej

cząstki wiecznego światła, by wydać się nocy i wyniszczyć się z miłości aż do wygaszenia boskiej natury.

O tej Osobie mówi się, że jest Miłością, ale nie pytajcie mnie, co to jest miłość. Wsłuchiwałem się z wytężoną uwagą w głos, który „jak wicher wieczorny” idzie przez Biblię. Postępowałem za Chrystusem przez Ewangelię, zobaczyłem, że On wiele pytał i wydawało mi się, iż z każdym Jego pytaniem budziło się wokoło nowe życie. Badałem, co mogło być tą tajemnicą i nieodpartą zasadą, która tworzy wszystko nowe, motywuje, rządzi i — ratuje. Opierając się na moim własnym przykładzie, że posiada ona szczególną moc użyczenia bezwartościowej rzeczy wiecznej wartości, znalazłem tylko jedną odpowiedź: to jest Miłość, która drugiemu ofiarowuje istnienie.



Przypominam sobie dobrze, jak Villemain spoj-
rzył na mnie okiem lekarza, który spostrzega na-
głą zmianę w stanie pacjenta. Ze wzruszeniem
starszego brata, który widzi młodszego, idącego
do szkoły z książką w złoconej oprawie pod pa-
chą, stwierdził we mnie zmianę i zaraz wziął pod
uwagę administracyjne następstwa zdarzenia. Za-
prowadził mnie do swych chrześcijańskich przy-
jaciół: Aniuty i Stanisława Fumet, wokół których
zbierała się mała grupka konwertytów. Mieliśmy
z nimi omówić sprawę chrztu, komunii i bierzmo-
wania, byli bowiem dobrze obznajomieni z tymi
obcymi dla mnie obrządkami. Kręconymi schoda-
mi wchodziliśmy do niskiego domu z płaskim da-
chem, położonego między Jardin de Plantes i halą
aux Vins. Budynek ten pasowałby raczej do wiej-
skiego gościńca niż do śródmieścia Paryża. U
końca schodów otwierały się brązowe drzwi i po-
jawiały się w nich dwie przyjazne postacie. Każda
z nich mogłaby przypominać Dzieciątko Jezus,
które w swoim obszernym mieszkaniu, w pry-
watnej kaplicy u jego końca (naprawdę wyjątko-
wa rzecz w okolicy Dzielnicy Łacińskiej), czekało
na święta Bożego Narodzenia.

Aniuta, z swoją piękną twarzą, pięknymi (od młodości) białymi włosami, zrolowanymi jak słuchawki nad uszami, otwarta dusza, trzymała się chętnie nieco pochylona. Ręce nosiła skrzyżowane nad piersią w pozycji, którą widzi się na obrazach ze Zwiastowaniem Fra Angelica. Była wieszczką, obrabowaną ze swej czarodziejskiej różdżki, pozostającą na zesłaniu, posiadającą jednak ciągle jeszcze skłonność zamieniania dyń w karety (zapewne dyń, które nie były niczym innym, niż dawnymi karetami, a tylko przez jakiś duchowy wypadek wywróconymi). Świat był pełen więźniów, których należało uwolnić od zniekształceń naszego upadłego stanu i przywrócić do ich nadprzyrodzonej piękności; nie była ona przecież niczym innym jak ich dawną naturą. Aniuta miała zwyczaj przysłuchiwać się z zamkniętymi oczyma, by je oszczędzać lub by przypomnieć sobie formułę, która była zdolna zaczarować jej rozmówcę w zachwycającego księcia. Miała zdolność czynić lżejszym wszystko, co ją otaczało. Zaledwie usiadło się obok niej, traciło się trzy czwarte swej wagi podstawowej substancji, reszta ulatniała się po krótkim czasie w powietrze. Jednak jej pochodzenie ze świata czarów nigdy nie uwidaczniało się wyraźniej niż wtedy, gdy wychodziła z tajemniczej kuchni, krocząc jak po niewidocznej linii z talerzem zakąsek; siłę jego przyciągania potrafiła wykorzystać w przyziemnym znaczeniu. Aby nie wyjść z jej kręgu zaczarowania, poprosiłem pewnego dnia, by została moją chrzestną matką. Zgodziła się i byłem z tego bardzo dumny. Podziwiałem w niej sztukę porównywania, którą posiadała w najwyższej mierze, tzn. sztukę ustalania stosunków między rzeczami nie mającymi względem siebie żadnego związku.

Stanisław, pirenejski pasterz, w aksamitnym ubraniu, brodaty i jowialny, chronił pod dachem kulistej szopy włosów dobry nos, który trudno było zwieść z tropu i dwoje oczu koloru morskiej zieleni; zdawały się one wychodzić z dna sadzawki jak wodne róże Claude Moneta. Jego nieustraszony, pogodny duch mieszał ze sobą czas i wieczność i podawał do stołu jednemu biesiadnikowi tę samą potrawę z hojnością kucharza okrętowego wybierającego się na urlop, z obfitością wina i zachęcającym poklepywaniem w plecy. Świat, życie, ludzie, niebo, wszystko to przedstawiało dla niego olbrzymi jarmark, gdzie znajdują się całe góry gwizdków, kramiki z atletami, ujeżdżalnie dla filozofów, pajace z drewnianymi głowami, girlandy ślazowych cukierków, małpki i serca z pierników. Nigdy nie czuł się zmęczony przypatrywaniem temu widowisku i twoja osoba (a i jego nie mniej) wydawała mu się jak jeden z owych trafnych figli, jakie tylko Opatrzność potrafi robić w swojej niewyczerpanej obfитоści żartobliwych szczegółów. Był uosobieniem serdeczności i przyjmował każdego jako dar ze wszystkimi możliwymi wesołymi dowodami przyjaźni. Dla niego było się zawsze nowym, tym bardziej że zawodziła go własna pamięć i zapominał z dnia na dzień twoje nazwisko. Nie byłbym zaskoczony, gdybym zobaczył go szukającego własnego numeru w książce telefonicznej. Znał dużo anegdot i opisywał ludzi, o których niewiele wiedział kim byli i którzy (nie wiedział gdzie i co) zrobili coś niesłychanie komicznego. Ponieważ nie można się było śmiać z tej historii, śmiało się wraz z nim z jego luk w pamięci, a on tak się wesoło w nich uwijał jak delfin w basenie.

Mimo to pisał piękne książki, pełne uduchowienia

nia i siły. Zawsze jednak znajdował się jakiś modny filozof, jakby po to, by odwrócić od niego uwagę katolików. Ci bowiem byli wtedy skłonni wszędzie szukać prawdy, tylko nie u siebie samych. Nie można było jednak z tego powodu dostrzec u niego śladu goryczy, a to dzięki pokorze i wewnętrznej wolności. Czyż autor nie pisze dla Boga albo dla innych lub dla siebie? On pisał dla Boga.

Pisze jeszcze! Świadomie mówię tylko dlatego w czasie przeszłym, aby spróbować odtworzyć nieuchwytny czar tego okresu.

Moja historia nie wydała im się szczególnie zdumiewająca. Byli przecież otoczeni całą drużyną młodocianych konwertytów, młodych dziewcząt, młodych mężczyzn, często żydowskiego pochodzenia. Oni wszyscy byli pielgrzymami do Emaus, przez co chcę powiedzieć, że dla nich, jak i dla mnie, chrześcijaństwo nie było ani ideą, ani systemem, ani moralnością, lecz Osobą. Czy idei ofiarowuje się kwiaty, czy wyznaje się moralności swą miłość, czy ozdabia się swój dom systemami z pomalowanych popiersi? Oni wszyscy, obojętnie, czy ich zmiana dokonywała się powoli, czy szybko lub rozważnie, przeszli ów rozstrzygający, nie dający się wytłumaczyć rozumowo moment, w którym przypuszczenie staje się Obecnością, w którym myśl błądząca w bycie odkrywa Osobę, a szukający czegoś znajduje Kogoś.

To jest moment uczniów z Emaus. Prawie zrozpaczeni opuścili po męce Chrystusa Jerozolimę i przypominali sobie po drodze ostatnie dni i ani historia, którą przeżyli, ani nowina, którą usłyszeli, ani Pismo, które będzie im wyłożone, nie otworzy im oczu.

„I oto tego samego dnia — tak opowiada Ewan-

gelia — dwaj z nich szli do miasteczka zwanego Emaus, które było oddalone o sześćdziesiąt stadiów od Jerozolimy. I rozmawiali z sobą o tych wszystkich wydarzeniach. A gdy tak rozmawiali i nawzajem się pytali, sam Jezus przybliżywszy się, szedł z nimi. Lecz oczy ich były zasłonięte, tak że Go poznać nie mogli. I rzekł do nich: Cóż to za rozmowy, idąc, prowadzicie z sobą? I przystanęli przygnębeni. A odpowiadając jeden, imieniem Kleofas, rzekł do Niego: Czyś Ty jedyny pielgrzym w Jerozolimie, który nie wie, co się w niej w tych dniach stało? Rzekł im: Co? Oni zaś odpowiedzieli Mu: Z Jezusem Nazareńskim, który był mężem, prorokiem mocnym w czynie i słowie przed Bogiem i przed wszystkim ludem, jak arcykapłani i zwierzchnicy nasi wydali na Niego wyrok śmierci i ukrzyżowali Go. A myśmy się spodziewali, że On odkupi Izraela, lecz po tym wszystkim już idzie trzeci dzień, jak to się stało. Lecz i niektóre nasze niewiasty, które były wczesnym rankiem u grobu, wprowadziły nas w zdumienie, bo nie znalazłszy Jego ciała, przyszły mówiąc, że miały widzenia aniołów, powiadających, iż On żyje. Toteż niektórzy z tych, którzy byli z nami, poszli do grobu i zastali to tak, jak mówiły niewiasty, lecz Jego nie widzieli.

A On rzekł do nich: O głupi i gnuśnego serca, by uwierzyć we wszystko, co powiedzieli prorocy. Czyż Chrystus nie musiał tego wycierpieć, by wejść do swojej chwały? I począwszy od Mojżesza, poprzez wszystkich proroków wykladał im, co o Nim było napisane we wszystkich pismach. I zbliżyli się do miasteczka, do którego zdążali, a On okazywał, jakoby miał iść dalej. I przymusili Go, by został, mówiąc: Zostań z nami, gdyż ma się ku wieczorowi i dzień się już nachylił. I wstą-

pił, by zostać z nimi. A gdy zasiadł z nimi przy stole, wzięwszy chleb, pobłogosławił i rozłamawszy, podawał im. Wtedy otworzyły się ich oczy i poznali Go. Lecz On znikł sprzed ich oczu,, (Łk 24, 13–31).

Jak przy każdym nawróceniu istnieje ów moment łamania chleba, nawet kiedy jest psychologicznie trudny do stwierdzenia (gdy myśl staje się duszą, a prawda obliczem), tak moja przygoda była dla Stanisława i Aniuty jednym z wielu przypadków, od których różniła się najwyżej swoją nagłością i gwałtownością. Wszyscy odkryliśmy Osobę, a ponieważ nie było między nami „poważnie myślących teologów”, mówiliśmy tylko o Niej. Każda inna rozmowa wydawałaby się nam pusta i nudna.

W czwartki zjawiał się często, trochę niespodziewanie, dziwnie wyglądający kapłan, gruby, z twarzą spryciarza, o cichej ruchliwości kota (o którym się nie wie, czy wejdzie przez drzwi, czy przez okno). Człowiek ten, posiadający rzadki dar rozróżniania, przydzielał każdemu z nas odpowiadający jego nastrojowi ducha, mały, duchowny bukiet, okraszony humorem, złożony głównie z cierni, ostów i żelaznych wiórek. Nikt nie umiał tak dobrze jak on lekkim kłapsem wytropić owo uparte „ja”, o którym sądziło się, że zostało usunięte przez działanie łaski, podczas gdy ono oczekiwało jednak tylko swojej godziny w jakimś kącie naszej osobowości. Jako trzeci czy czwarty wikary, nie mogąc spodziewać się nigdy awansu na proboszcza, obcinał knoty świec i pielęgnował jedną czy drugą biedną i przaladowaną duszę w przeludnionej podmiejskiej parafii. Jego małe charyzmatyczne dary pozostawały tam cał-

kowicie niezauważalne. Kościół ma to wspólne z armią, że nie popiera talentów.

W lecie udawaliśmy się wspólnie do La Salette, rzadziej odwiedzanego miejsca odpustowego w wysokich górach. Wjazd do tego cudownego pustkowiecia w specjalnych samochodach z wąskim rozstawem kół miał w sobie coś z awiacji. Droga była czymś pośrednim między ścieżką górską a łożyskiem potoku. Na każdym zakręcie wóz znajdował się na skraju przepaści. Pasażer, siedzący pechowo po niewłaściwej stronie, przelatywał w gwałtownym rozpędzie z jednego kąta w drugi i widział mnóstwo kamieni lecących na niego, które tuż przed jego oczyma zmieniały kierunek. Zanim zniknęły, już wóz dysząc wyciągał w próżnię swój pysk w poszukiwaniu następnej ściany skalnej.

Na szczycie widzi się na opoście skalnej bazylikę z czarnego kamienia, gospodę, o której nie ma wzmianki w przewodnikach, a między żelaznymi balustradami trzy figury. Przypominają one najważniejsze momenty objawienia z 1846 roku: Świętą Dziewicę we łzach siedzącą na skale, rozmowy z pastuszkami i świetlane Wniebowzięcie Pani. Śmiały artysta przedstawił te wszystkie sceny w brązie. Dzień mijał nam na modlitwie, rozmowie o Osobie Boga (bez udziału żadnego „poważnie myślącego teologa”), bardzo skromnym obiedzie przy długich stołach w gospodzie, na nowej serii rozmów na ten sam temat co przedtem i czekaniu na wóz, który przywoził nam od czasu do czasu członków „eksternów” naszej rodziny. Aniuta modliła się za duchowieństwo. Stanisław rzucał się na trawę i brał do protokołu nasz stan duchowy. Jego małe wnuczki bawiły się zabawkami pneumatycznymi, które w ich rączkach zmie-

niały się w świecące aureole. Chodziłem na spacer z moją „siostrą” Bertą, młodą Żydówką, subtelnym, dobrym, nawet więcej, może świętym stworzeniem, w której łaska zajęła miejsce natury. Ona doprawdy spadła pewnego dnia w czasie wielkiej burzy z drabiny Jakubowej i topiła swój ból w łożach, jak inni w alkoholu. Czasem wędrowałem z moją „siostrą” Zuzanną, nazywaną moją bliźniaczą siostrzyczką, ponieważ urodziliśmy się tego samego dnia roku. Trudziła się, aby przekazać mi coś trochę z wspaniałej znajomości wielkich mistyków. Ścigała mnie swymi argumentami jak sztyletem wokół całej bazyliki, aby przymusić mnie do wyznania, że my oboje jesteśmy predysponowani. Przeciw temu twierdzeniu moja nieświadomość i moja duchowa ograniczoność starała się wysunąć wszelkie możliwe sprzeczności, pomijając złą sławę, jaką to słowo zyskało w toku naszej religijnej historii. Przecież dla Zuzanny, o posągowo śmiałym obliczu Minerwy, każdy powód, by więcej kochać, był dobry, a ten wydawał się jej doskonały. Poddałem się tchórzliwie, gdy wybuchła oburzeniem nad moją niewdzięcznością. Widziałem, że gotowa jest wyprzeć się naszego pokrewieństwa i wolałem być predysponowany niż z nią skłócony.

Była na miarę założycielek zakonu, a przecież sprzedawała przez cały rok buty w małym miasteczku w Południowej Francji w Departamencie Isère. W Asyżu znajduje się pierwsza kaplica świętego Franciszka, wbudowana w potężną bazylikę Santa Maria degli Angeli. Otrzymuje ona tyle tylko światła słonecznego, ile wnika przez odległe okna. Jest to często zwiedzana osobliwość, godna oglądania. Gdy widziałem moją bliźniaczą siostrę klęczącą w środku między rozrzu-

conymi bucikami i butami, budziła we mnie wyobrażenie, że zrobiono z nią coś odwrotnego: udało się pomieścić Santa Maria degli Angeli w pudełku do butów.

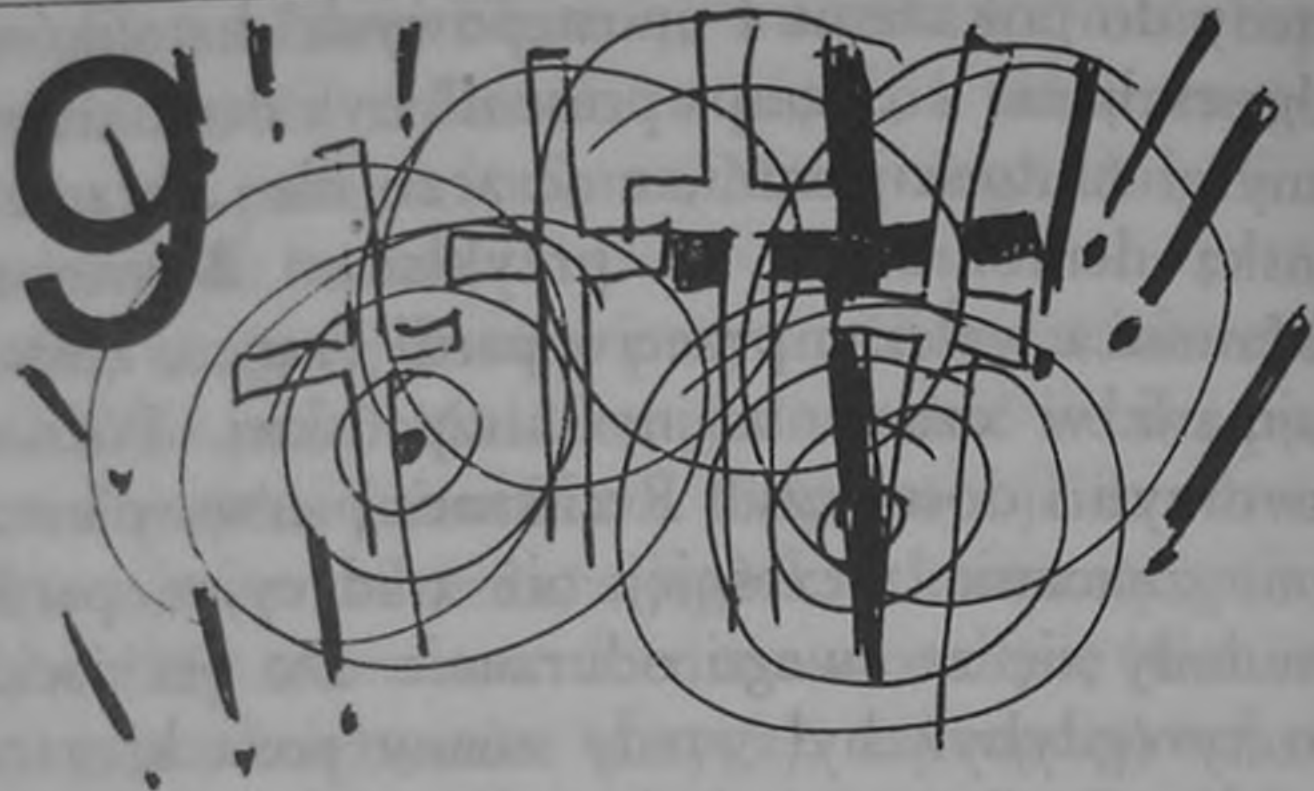
Czy mogę się do tego przyznać? Świat interesował mnie mało. Musiałem jednak żyć i dalej pracowałem jako dziennikarz. Gdy mój ojciec odrzucił swoje uprzedzenia, a jego krótkotrwałe gniew wywołany moim nawróceniem ulotnił się (uważał, że to jest księżowska intryga), zaproponował mi rubrykę w swojej najnowszej gazecie. Ponieważ nie chciałem ani czegokolwiek skreślić z moich najnowszych przekonań, ani zarazem jego urazić, wybrałem obskurną metafizykę i przekazywałem mu codziennie artykuł pełen tajemniczych mądrości, który był gotowy określić pobłażliwie jako „wielce obiecujący”. Jego redakcyjni przyjaciele mieli widocznie to przekonanie, że faktycznie nie można w tym, nawet przy najlepszych chęciach, niczego więcej się dopatrywać.

Stanisław był przez pewien czas korektorem w pewnej drukarni. Jest to jedyny zawód poważany u anarchistów (on sam był nieco taki), którzy mieli tu swobodę wyżycia się w swej namiętności do ortografii, porządku i tradycji. Ponieważ nie potrafili stworzyć świata na nowo, poprawiali go bezlitośnie na liniach, przecinkach i wątkach. Później mianowano go kierownikiem literackim pewnego wydawnictwa, a wkrótce potem proponowano mu redakcję nowego tygodnika, który pod tytułem „Temps présent” winien był zastąpić czasopismo dominikańskie „Sept”. Zostało ono zakazane przez przełożonego zakonu z powodu kilku zbyt odważnych artykułów, o których dzisiaj nikt więcej nie mówi. Stanisław przyjął i zgromadził wokół siebie wszystkich, których Paryż miał

wtedy do pokazania z „postępowych” katolików. Chrześcijanie z „Temps présent” byli demokratycznymi chrześcijanami, a jeszcze nie „chrześcijańską demokracją”. Za przykładem Bernanosa i Mauriaca walcząc przeciw. partii Franco, zostali pojmani w czasie wojny hiszpańskiej. Później utworzyli i dostarczyli Resistance pierwszy batalion, znacznie wcześniej niż tradycyjne partie obudziły się ze swego odurzenia. Do przyjaciół gazety (gdybyż był wtedy znany poza kręgami wojskowymi) można było zaliczyć jednego znaczącego abonenta: de Gaulle’a, który wcale nie był tak wielkim, jak się utrzymuje, zwolennikiem Charlesa Mauriaca. Pozornie czuł się doskonale w towarzystwie ludzi, których prawica już wtedy określała jako „czerwone ryby” w kropielnicy ze święconą wodą.

Krótko mówiąc spotkało mnie to, czego republikańscy ministrowie, mając na widoku swój bliiski upadek, tak niecierpliwie oczekiwali: „upaść na lewą stronę”.

Pod względem politycznym nie byłem przecież zbyt obcy w tej atmosferze, a miałem stać się jeszcze mniej. Albo też coraz więcej.



Nawróciłem się na chrześcijaństwo (raczej powinienem powiedzieć: zostałem nawrócony na chrześcijaństwo) w tym prawie nieuchwytnym momencie historii, kiedy chrześcijanie zaczęli zwracać się ku światu i opuściłem właśnie na czas marksistowskie środowisko mego dzieciństwa, aby słuchać zachwytów osób zakonnych na temat Karola Marksa.

Nasze drogi prowadziły w odwrotnych kierunkach. Spotykając się — pozdrawialiśmy się uprzejmie nawzajem. Widziałem jednak bardzo dobrze, jak dziwili się w skrytości, że ja z tak lekkim sercem porzuciłem nowoczesny system z całym jego naukowym rynsztunkiem, aby przyjąć treści wiary liczące tysiące lat; właśnie zamierzali kwestionować je jedne po drugich.

Nie pojmowali, że marksizm (i to całkiem jednoznacznie) jest religią, a nie czymś innym i że ta religia jest już silniejsza niż to, co pozostało im z ich własnej.

Ten zwrot chrześcijan ku światu nadchodził niezauważalnie, pozornie całkiem powoli na wzór ciała niebieskiego, które wydaje się ledwo poru-

sząć w kosmosie; dopiero zderzenie z atmosferą ziemską objawia jego zastraszającą prędkość. Jest to najbardziej niepokojące z ciemnych wydarzeń tego stulecia.

Możliwe, że cicho, bez budzenia stróża, noc ducha zapowiada milczenie Boga, które może trwać stulecia. Czytelnicy Biblii wiedzą o tym, jeśli obserwują uważnie przerwy, które dzięki kompozycji księgi dzielą od siebie gęsto zebrane momenty wkraczania Boga do historii. Jakże długo trwało chylenie się ku upadkowi Żydów, jak długo schlebiali obcym bożkom, gdy około 630 roku przed Narodzeniem Chrystusa król Jozjasz w podziękowaniu za odnowienie świątyni jerozolimskiej (wyobrażam sobie, że chciał przekształcić ją w dom kultury lub żydowski antykwariat) otrzymał zarzucony w jakimś kącie półki stary zwój papirusowy z ręki arcykapłana, którego oczywiście skostniała tradycja jeszcze długo utrzymywała na jego archaicznym posterunku. Ten papirus nie był niczym innym jak — Prawem Mojżeszowym! Jozjasz tego nigdy nie przeczytał... Biblia opisuje pokrótce, a zarazem trafnie, zaskoczenie króla wobec zbioru przepisów, które stały w zupełnej sprzeczności do wszystkich zwyczajów państwa, jak też wielką bezmyślność arcykapłana, nie widzącego w podstawowym tekście swej religii nic innego, jak tylko ładny podarunek o wartości kulturowej.

Milczenie Boga trwało przez wiele okresów i panowań i dzisiaj należy się go tym więcej obawiać, gdy szaleńcy prześladują z gorzką wrogością „realną obecność Boga”, która od pierwszego łamania chleba w Wielki Czwartek oddziałuje na naszą historię i zmienia ją w nieokreślonej dla nas mierze. Nasza niewiedza o tym, co zawdzię-

czamy Eucharystii, której nie nadaremnie udzielono wielu ludziom pod tyłoma sklepieniami niebieskimi, powinna każdego z nas utrzymać w pełnym głębokiego szacunku milczeniu wobec tej tajemnicy. Ale ciężkie łapy zajęły się tym delikatnym pokarmem i kto wie, jak będzie wyglądała nasza historia, gdy życie ostatniej Hostii będzie pozostawało w brutalnym chwycie tych najzręczniejszych zbrodniarzy Najświętszego Sakramentu, których ograniczoną arogancją Kościół musiał zawsze znosić. Czy wymienimy ten cudowny obol, który sam w sobie zawiera przedmiot naszej wiary, zastaw naszej nadziei i przyczynę naszej miłości — na fałszywą monetę kłamliwych ideologii, unoszących się jak słupy dymu z ruin chrześcijańskiego myślenia.

Przecież w czasie, o którym mówię, nieco przed drugą wojną światową, chrześcijanie żyli jeszcze w przezroczystym świecie. To była jedna z pierwszych przyczyn, która mnie wprawiła w podziw dla nich. Ten świat, który dla większości niewierzących jest więzieniem, niezależnie od tego jak daleko są mury, dla chrześcijan nie istniał. Mieli do swego rozporządzenia zamiast jednej trzy rzeczywistości.

Pierwsza była niewidzialna. Do osiągnięcia jej przygotowywali się w swoich kościołach. Spokojnie prowadzili tam swój okręt, mając w zasięgu niebo, które się czasem coraz niżej opuszczało, tak nisko, że musieli klękać i pochylać głowę, by je znowu odnaleźć na słomie żłóbka.

Druga rzeczywistość, widzialna, była także widoczna dla niewierzących, ale ci nie przeżywali jej w ten sam sposób. Jej przemijający charakter wzbudzał u nich niedowierzenie. Planetę powie-

rzono im tylko do odwołania i wisieli na niej bez złych przeczuć i wyrzutów sumienia, starając się prześlizgiwać między pokusą i grzechem, w ustawicznej trwodze przed śmiertelnym upadkiem, który wyrwałby ich z kręgu łaski. Było wskazane, aby posługiwać się dobrami tej ziemi tak mało, jak to tylko możliwe. Ale powściągliwość w ich wykorzystywaniu rzadziej kończyła się na ascezie, a częściej na ciasnocie serca. Stosunek mężczyzn do kobiet zdradzał wyraźnie tę starą jansenistyczną treść, tak charakterystyczną dla francuskiej umysłowości i ciągle jeszcze pojawiającą się aż do klątwy, którą dzisiaj skrajna lewica rzuca na społeczeństwo konsumpcyjne. Oglądanie kobiecej piękności dawało im niesłusznie uczucie dojścia znowu do granicy ziemskiego raju; trwożliwie unikając zwrócenia głowy, rzucali na nią lękliwe, pożądliwe spojrzenia, które użyczały im fałszywych wrażeń. Dało to bez wątpienia Picassowi pomysł wsadzenia swoim postaciom dwojga oczu po tej samej stronie nosa.

Jednak trzecia rzeczywistość, jaką mieli chrześcijanie, była najważniejsza. To była liturgia, pośredni świat między tym, co widzialne a niewidzialne, okno, ekran lub — powiedzmy — zasłona świątynna wstawiona między tym światem a drugim, zza której jeden okres roku po drugim wysyłał promienie tajemniczego ognia: obrazy Bożego Narodzenia, Wielkanocy, Zielonych Świąt i Wniebowstąpienia.

Ich religia była religią promiennego, zawsze powtarzającego się, nowego początku przez chrzest, spowiedź, Eucharystię, cykliczny powrót Świąt Ducha Świętego, który na nich zlewał światło pierwszego poranka. Im była dana moc wiecznego odradzania się przez powtarzające

się udzielanie sakramentów, a do tych dobrodziejstw dochodził jeszcze dodatkowy wymiar.

Przecież oni szli na Mszę nie po to, by uczestniczyć w zaprzysiężeniu jakiegoś mitu lub w powtarzanym symbolicznym wydarzeniu z dawnych czasów. Zapewne, ich kapłani mówili przy konsekracji w czasie przeszłym: „Oto w przeddzień swej męki wziął chleb w swoje święte i czcigodne ręce, błogosławił, łamał i dał uczniom swoim mówiąc: To jest ciało moje”. Ale dla Boga nie istnieje żadna przeszłość. Równie jak sam może powiedzieć w absolutnym znaczeniu tego słowa „Ja jestem”, tak może sam przebywać w teraźniejszości, która w tym samym momencie jest przeszłością przeobrażającą się w przyszłość. Nie można sądzić, że On jednocześnie jest wieczny i podlega upływowi czasu. Cóż innego oznaczają prorocтва Starego Testamentu niż to, że co powinno było stać się, już jest, podobnie jak to, co dla nas było, w niepojęty sposób pozostaje trwale w Nim. Więc chrześcijanie także nie uczestniczyli przy powtarzaniu Ostatniej Wieczerzy i Męki Chrystusa, jakby te dokonywały się na ołtarzu; oni brali udział w Ostatniej Wieczerzy i samej Męce, tak jak też one trwają nadal w Bogu. Stanęli przez wiarę i Hostię w łączności z rzeczywistością Ewangelii, tak jak przez zamgloną szybę, z której pewnego dnia ustąpi para, zobaczą widzialnego Baranka.

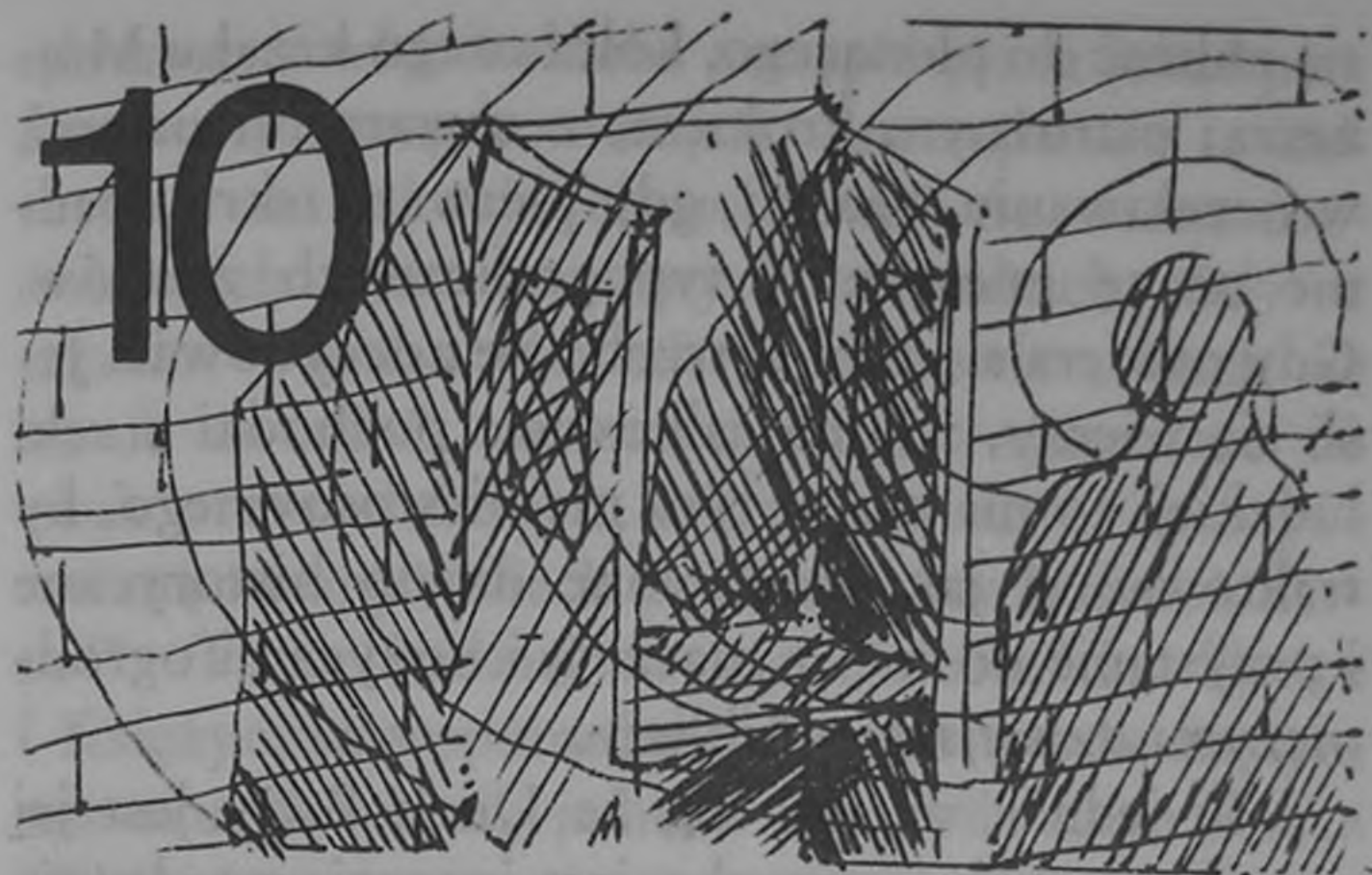
Zazdrościłem chrześcijanom ich wiary, oni zaś czasem mówili, że zazdroszczą szczęścia, które mnie przypadło w udziale. W moim bowiem przypadku nie można było mówić o wierze w istnienie Boga: zostałem obdarzony pewnością w formie rzeczywistości, która nie pozostawia miejsca na żadną wątpliwość czy wahanie. Ewangelia,

którą po raz pierwszy przeczytałem, wskazywała jasno, że Jezus niczego nie stawiał wyżej ponad cnotę wiary; winna była przenosić góry. Wiara była pożądana, ponieważ On ją podziwiał: „Nigdy nie spotkałem takiej wiary w Izraelu” — powie, gdy usłyszał, jak rzymski setnik mówi po prostu, że nie jest godny przyjąć Go pod swój dach, jednocześnie jednak wypowiada przekonanie, że wystarczyłoby słowo Jezusa, by uzdrowić sługę. Wiara jest dobra, ponieważ umożliwia poznanie Boga, jak On sam siebie zna; w tym wypadku jest nawet pewniejsza niż mistyczne poznanie, do którego zawsze może się domieszać nieco własnego „ja”. Wiara jest piękna, gdy widzi się w niej wymianę nieodwołalnej obietnicy, dokładnie w tym znaczeniu, jak dwie istoty kochające się nawzajem „dają w zastaw” wzajemnie swoją wierność. Jest wspaniała, jak akt miłości bliźniego bez nadziei na zapłatę, w miarę jak pozostaje wolna od wszelkiej emocji, radości lub uczucia pociechy. Jest boska, ponieważ jest darem Jego samego i mówi mową Boga, który — jak wierzę — nie zna żadnej innej. Chrześcijanin zapiera się swego własnego dążenia, wyzwala się z własnego wahania, aby wyjść Bogu naprzeciw. Zaś Bóg w pewnym względzie zapiera się samego siebie, aby zrobić się dostępnym i spotkanie tych dwu przeciwieństw jest ostatecznie chrześcijańskim utwierdzeniem.

Wszystko przemawia za wiarą. Mówiłem do ochrzczonych w kołysce, że są bardzo szczęśliwi z przyjęcia jej, ale oni byli mniej pewni swego szczęścia niż ja.

Trzeba zapewne przyznać, że właściwy, prawdziwy rozwój wiary stawia na początku niemało trudności do przezwyciężenia. Rozum nie przy-

chodzi tu z pomocą. W istocie rozwój wiary żąda, by się kochało zanim się zna, podczas gdy wielu myśli, że musi się znać, zanim się kocha. Ci nie zmieniają swego przekonania, choć czynią nawet coś przeciwnego, skoro tylko zakochają się po ludzku.



Powierzyłem swoje religijne problemy matce chrzestnej, co było tym bardziej męczące i skomplikowane, że żadnych nie miałem. Mój duchowy barometr stał niezmiennie na „piękna”. Mogę bez przesady powiedzieć, że spędzałem moje najszczęśliwsze godziny w kościele. Godziny te były przejrzyste jak woda. Minuty nie następowały jedna po drugiej, przychodziły wszystkie naraz i wiązały trwanie w jeden wzlot nieopisanej rozkoszy. Jak mógł Decartes obawiać się, że w niebie będziemy się nudzić? Ten wielki matematyk zrobił z wieczności dodawanie stuleci, a z obiecanego zbawienia bezgraniczny przesyt w nieskończoności, która zawsze jest jednakowa.

Nie wiedział, że nawet gdyby ktoś chciał liczyć wieczność na jego sposób i mierzyć ją za pomocą czasu, nawet wtedy nie byłoby żadnej obawy przyzwyczajenia. Gdyby przepędziło się milion stuleci w obecności Boga, widziałyby się Go zawsze po raz pierwszy.

Biblia pociągała mnie i zacząłem ją czytać w nastroju, który uważałem za stosowny, mianowicie z niepokojem i ze zdwojoną uwagą, jakbym miał

się zbliżyć do płonącego, kolczastego krzaku Mojżesza: ostrożnym krokiem, z otwartymi ustami, w oczekiwaniu trzasku, gdy pierwsza iskra upadnie na tę mieszaninę typograficznych znaków. Gdy otwiera się Biblię, trzeba się zdecydować. Jeśli się wierzy, że ona całkowicie pochodzi z ręki ludzkiej, to nie ma w tym nic niestosownego, by traktować ją jak każde inne dzieło historyczne i przystąpić do niej z maczetą i nożycami ogrodniczymi dzisiejszego biblisty.

Jeśli jednak wierzy się, że Duch Boży jest jej autorem, wtedy wszystko jest inaczej; wtedy nie robi się żadnego rozróżnienia między tym, co mówi Bóg i tym, co jest Bogiem, ponieważ leży w Jego naturze „udzielać się” w sensie dosłownym przez swoje posłannictwo i zamknąć się w swoim Słowie. A więc Pismo Święte jest drugą postacią Eucharystii, nie czyta się go, lecz się je spożywa, a to, co ofiarowują nam słowa, to nie są myśli, lecz manna.

Dlatego nie chodzi już więcej o to, by wiedzieć, czy np. Księga Rodzaju jest „ludową relacją ze stworzenia świata”, która posługuje się okruchami „wiedzy tkwiącej jeszcze w powijakach” — jak to chce uznać dzisiejsza krytyka. To nie jest także historia naturalna, lecz historia odbicia Boga w Jego stworzeniu. Biblia jest historią prawdy przekazanej przez samą Prawdę, a pytanie nie brzmi już: „Co ona chce powiedzieć?”, lecz „Co ona chce mnie powiedzieć?”. Obrazy, którymi tekst posługuje się, nie są wadliwymi sposobami prymitywnej mentalności, lecz barwnymi zasłonami z niematerialnego tworzywa; nimi się karmię, chłonę je moimi spojrzeniami aż rozproszą się w świetle, które może spłynąć na mnie.

Nie można im podsunąć innej mowy, tak jak

nie można wina i chleba zastąpić przez jakąś perforowaną kartę komunijną. Zresztą mają tę korzyść z abstrakcyjnych twierdzeń, że można rozwinąć ich treść w różnych kierunkach. Gdy w trzecim wierszu Genezis Bóg mówi: „Niech się stanie światło”, można to, mając skłonność do nauk przyrodniczych, tak rozumieć: „Niech powstaną fotony! Niech powstaną fale korpuskularne!”. Tym bardziej że ciała niebieskie, Słońce i Księżyc, są wspomniane dopiero w czternastym wierszu. Jeżeli się jednak zapomniało, że Boska Miłość jest praprzyczyną wszystkich rzeczy, można te słowa także tak rozumieć: „Świat niech będzie zrozumiały. Rzeczy powinny wysyłać obraz samych siebie i mówiąc, czym one są, objawiać swą tożsamość, by można je było zrozumieć i kochać”.

Jeśli się nie ma obawy wierzyć (przeszkoda, która o wiele bardziej jest rozpowszechniona niż się sądzi), jeśli trzyma się mocno w swym duchowym posiadaniu tę prawdę, że Bóg jest nieograniczoną Wielkodusznością, wtedy unosi się z pomiędzy wierszy Biblii nieopisany, śpiewny odzew miłości wyłączonej ze swego własnego stworzenia, która „nie wie, gdzie może złożyć swą głowę” i która w dzień swego wcielenia była zmuszona urodzić się w tak nędznych warunkach jako dziecko bezdomnych lub wygnańców. W całym Starym Testamencie szukałem z upragnieniem tych, którzy tę skargę słyszeli i przynajmniej raz zajęli się tą odrzuconą miłością i nikt nie wydawał mi się godniejszy (był on zresztą kochany jak nikt inny) niż Dawid, z miedzianymi włosami i swoimi jak na skrzydłach niesionymi krokami! To nie jego czyny wojenne przekonały mnie. Zresztą nie wszystkie były tak chwalebne, jak jego zwycię-

stwo nad Goliatem, ograniczonym olbrzymem, samochwalczym i prawie pożałowania godnym wcieleniem wszystkich bożków siły, nad tym pompatycznym aktorem, który chce napędzić strachu przez samo swoje zjawienie się, a który ze strachu, że mu się to nie udało, chyba umarł, zanim dosięgnął go zuchwały, jakby wypluty kamień. Podziwiałem Dawida, że był początkowo pasterzem, który odszedł od swojej trzody. Podziwiałem go, gdy jako król nagle w nocy opuścił swój pałac, by pójść i śpiewać z lekkim sercem przed świętym przybytkiem pieśni miłosne Istocie, której nigdy nie widział, oddawać się Jej w tańcu i śpiewie. Czy istnieje drugi przykład takiej harmonii między stworzonym a Niestworzonym, czy słyszało się kiedykolwiek dźwięk, który unosi się w powietrzu w każdym wierszu psalterza i coraz silniej rozbrzmiewa?

A więc uszczęśliwiała mnie Biblia (co nie jest tak częste przy pierwszym czytaniu) i to w takiej mierze, że nawet przykazania — „Będiesz miłował Pana Boga swego”, „Będiesz miłował bliźniego twego jak siebie samego” — mimo ich rozkazującego tonu wydawały mi się w mniejszym stopniu zarządzeniami, a bardziej radosnymi przepowiedniami.

Także modlitwa uszczęśliwiała mnie. Czyż nie dowiedziałem się właśnie, że wszystko jest darem w Boskim planie zbawienia, że w tym niezwykłym porządku rzeczy jest najlepszym środkiem do osiągnięcia gotowości przyjmowania i że w tym sensie modlić się do Boga, to znaczy Go słuchać? Od ósmego lipca tego roku czułem się w pełni szczęśliwy, że On istnieje. Gdyby wszystko musiało się tu kończyć, nie dając mi nieba i wiecznego życia, byłbym — rozłączając się — jeszcze

więcej niż szczęśliwy, że ta czysta Piękność istniała i istnieje przed wszelkim początkiem. Gdyby mnie proszono o definicję chrześcijanina, powiedziałbym, zwracając się do Tego, ku któremu biegną wszystkie moje myśli: „Chrześcijanin jest to człowiek, który cieszy się bez końca, że nie jest bogiem, ponieważ Ty jesteś Któryś jest”.

Zapytano mnie: „Lecz jak pan wiedział, że chodziło o Boga?” To jest to, co na posiedzeniach parlamentarnych nazywa się „pytaniem zasadniczym”, od którego zależy, czy debata w ogóle dojdzie do skutku. Czy absolutna tożsamość potrzebuje podpisu, by rozpoznać ją po obrazie jej samej, który jest w nas? Jak można wahać się nazywać Tego, który nas nawiedza, gdy cała nasza istota, dusza i ciało, są dowodem tego, że tylko JEGO oczekuje od początku świata? Czy istnieje zatem jakaś inna osoba, którą by można utożsamiać w ten sam sposób nigdy jej nie widząc i czy w ogóle my GO nazywamy, a nie raczej ON sam, który się w nas nazywa? Jak to jest, że filozof nie ma żadnej odpowiedzi? Wyklucza bowiem a priori, że jest możliwa. Powie ci, że świat jest niepoznawalny, że ty znasz tylko własną myśl — to jest właściwie tyle, co nic. Pójdzie i zamknie się w lustrzanym gabinecie, w którym żyje od dwustu lat. Będzie tam liczył obrazy samego siebie, które mu otaczające go zwierciadła bez końca odbijają i będzie bardzo szczęśliwy, jeżeli będzie mógł zaliczyć jeden obraz więcej niż jego poprzednicy: gdyż filozofia zerwała z rzeczywistością, aby nie słyszeć, jak jej mówi o Bogu.

Nie można mylić się w tej sprawie; żadna inna obecność nie promieniuje tak całym jestestwem na człowieka, który w niej rozpoznaje swą przyczynę i wraca do niej z uczuciem szczęścia uwolnio-

nej od haczyka ryby zanurzającej się znowu w swe przezroczyste środowisko.

Eksplozja w lipcu zamieniła mnie dosłownie w przezroczyste szkło, tak jak podziemne jaskinie, których ściany pokrywają się warstwą szklaną po wybuchu bomby atomowej, a następująca potem fala uderzeniowa zmienia świat zewnętrzny w barwną mgłę. Nieskończoność odczuwałem jako naturalny element duszy, a to, że rzeczy są ograniczone, wydawało mi się niejasnym, prawie niepokojącym zjawiskiem. Podobnie i wieczność była dla mnie odczuciem całkiem naturalnego sposobu istnienia, czas natomiast — nie. Według mego mniemania stracił on wiele ze swej niewinności przez to, że w powiązaniu z historią bezustannie krążył wokół Boga, zamiast utrwać się na stałe pod Jego spojrzeniem. Nie rozumiałem wtedy, że czas i ograniczenie przestrzenne są kosztownymi darami, ponieważ pozwalają nam, w naszym wymiarze, dzięki cudowi proporcji stworzyć ograniczoną harmonię na obraz absolutnej doskonałości.

Muszę się przyznać, że wcale nie byłem zadowolony, iż jestem człowiekiem. Mimo że byłem tak szczęśliwy, a może właśnie dlatego, wolałbym być aniołem. Żadne położenie nie wydawało mi się bardziej godne pozazdroszczenia i bardziej stosowne do stanu mej duszy. Ja, który przedtem zawsze byłem na czatach i przy ukazaniu się kobiecości natychmiast wewnątrznie zaczynałem drgać, nie czułem więcej niepokojów mego wieku. Oczywiście uważałem bardzo na siebie. Od samego początku wystrzegałem się, by nie poświęcać uwagi zbliżającej się pokusie, której wystarczy, by zakorzeniła się w fantazji i tam z upodobaniem

perzu dalej się rozwijała. Krótko mówiąc, nie patrzyłem wcale na kobiety — zwłaszcza młode — a gdy jakaś weszła przypadkowo w mój widnokrąg, naciągałem w duchu mój kaptur. Nie przychodziło mi już trudno odrzucać sporadyczne ataki zmysłowości, krótko mówiąc: nie dawałem pokusie czasu na przyjęcie postaci. Natura mnie nie spętała. Bez wątpienia była piękna, ale nie tak piękna jak Bóg. Przy tym wydawało mi się, że posiada w sobie coś z ułudy; ta iluzja, ponieważ była Jego dziełem, nie mogła mylić. To było więc wszystko, lecz wcale nie wystarczało, by uczynić mnie niewolnikiem. Po co przebywać na tej niepewnej planecie, która mi nie ofiarowuje dłuższego postoju niż refleksom świetlnym na wodzie? Czy to nie zachęca, by wzbić się wyżej? Musiałoby się znaleźć jedno miejsce w chórze anielskim.

A więc na ziemi istnieje tylko jeden gatunek aniołów, mianowicie członkowie zakonów kontemplacyjnych, a wśród nich dla mężczyzn trapiści i kartuzi. Którzy z nich byli najbardziej oderwani od ziemi, najmniej zależni od przestrzeni i czasu, którzy byli najbardziej ukierunkowani na lot ku niebu i kontemplacyjną stację w przestrzeni wszechświata? Według mego mniemania — kartuzi.

Wyrzekali się niemal wszystkiego, czego można się wyrzec bez wymiany życia na śmierć i czuli się w swych drobniutkich celach więziennych wolni jak powietrze. Tak przynajmniej w swej naiwności przedstawiałem sobie tę sprawę. Nie miałem najmniejszego pragnienia, by zostać kapłanem. Funkcja ta była za bardzo obciążona ziemską odpowiedzialnością, nie mówiąc o mszy świętej i tym poufałym, manualnym obcowaniem z

tym, co boskie, które mnie trochę przerażało. Ale być zakonnikiem, tego życzyłem sobie z całego serca i — jeśli to możliwe — kartuzem.

Na nieszczęście nie istniały we Francji od czasu rozdziału Kościoła i państwa żadne klasztory kartuzów, zamieszkałe przez mnichów. Przynajmniej sądziłem, że wiem o tym. Mnisi wzbudzali u przedstawicieli Trzeciej Republiki coś takiego, jak święty strach. Myśleli, zresztą nie bez winy Chateaubrianda i błędnego twierdzenia w jego *Geniuszu chrześcijaństwa*, że zakonnicy szuflują każdego ranka swój grób i przy każdym spotkaniu w mrocznych krużgankach pozdrawiają się wzajemnie głośno rozlegającymi się słowami: „Bracie, pamiętaj o śmierci”. U niejednego powodowało to ciarki na plecach. Ich śluby były w oczach urzędników równe wielu zdradom: ślub posłuszeństwa — zdradą wolności, ślub czystości — zdradą gatunku, ślub ubóstwa — zdradą wszystkich programów wyborczych. Ze wszystkich zakonów, męskich i żeńskich, najbardziej pogardzane były kontemplacyjne. Według ogólnego zdania nie nadawały się one do niczego, z wyjątkiem *Lisieux*. I tak przepędzono z Francji wszystkich mnichów z wyjątkiem trapistów, których rolnicza działalność i wpływ na wieś zahamowała przypuszczalnie ramię ziemskiej zwierchności. Szukałem więc klasztoru trapistów w *Citeaux*, macierzystego domu tego zakonu, nie aby tam wstąpić, lecz aby oddychać powietrzem kontemplacyjnego życia.

Citeaux, położone niedaleko *Dijon*, u wylotu pięknej alei, można było uważać za wielki majątek ziemski, siedzibę licznej rodziny. Zbliżywszy się do pewnego określonego miejsca, widziało się przed sobą wznoszący się z całego kompleksu

kwadratowy blok głównego budynku o majestatycznych konturach. Zbudowany za Ludwika XIV zdaje się oczekiwać ze swymi wielkimi, kamiennymi murami, opasującymi wolne powierzchnie, na boczne skrzydła. Kościół i dom dla gości leżą przed opactwem, na prawo i lewo od dziedzińca, na którym jest ruch jak na każdym targowisku. U wejścia sprzedaje się miód i grube plastry sera.

Zostałem przyjęty wystrzałami armatnimi, to znaczy skrzypieniem i trzaskaniem otwierającej się do klauzury żelaznej bramy, na której skrzydłach można było przeczytać wypisane błyszczącymi literami: *O beata solitudo* na jednej stronie, i *O sola beatitudo* — na drugiej. Ten krótki hymn błogosławionej samotności musiał się raczej odnosić do położenia klasztoru niż do mnichów, którzy zaledwie poznawali jej istnienie kilkakroć w nocy. Po większej części spędzali ją w kościele, a resztę tylko w sali sypialnej w lnianych koperkach, które nie tyle oddzielały, co utulały krótki sen.

Część dnia poświęcona pracy fizycznej nie była długa, a plon tak obliczony, by klasztor nie stał się rolniczym przedsiębiorstwem. Bowiem skutkiem bezpłatności pracy przyciągałoby się cały rynek, gdyby nie ograniczono dobrowolnie dochodów. Stosownie do reguły zakonnej wszystko odbywało się w milczeniu, tak jakby poczucie wspólnego obowiązku działało samo z siebie bez potrzeby nakazywania lub dozoru. Co się tyczy braterskiego upominania o śmierci, to nie widziałem nigdy mnichów wymieniających coś innego, jak tylko od czasu do czasu uśmiech lub mały znak ręką, sygnały pilnego, telegraficznego zlecenia.

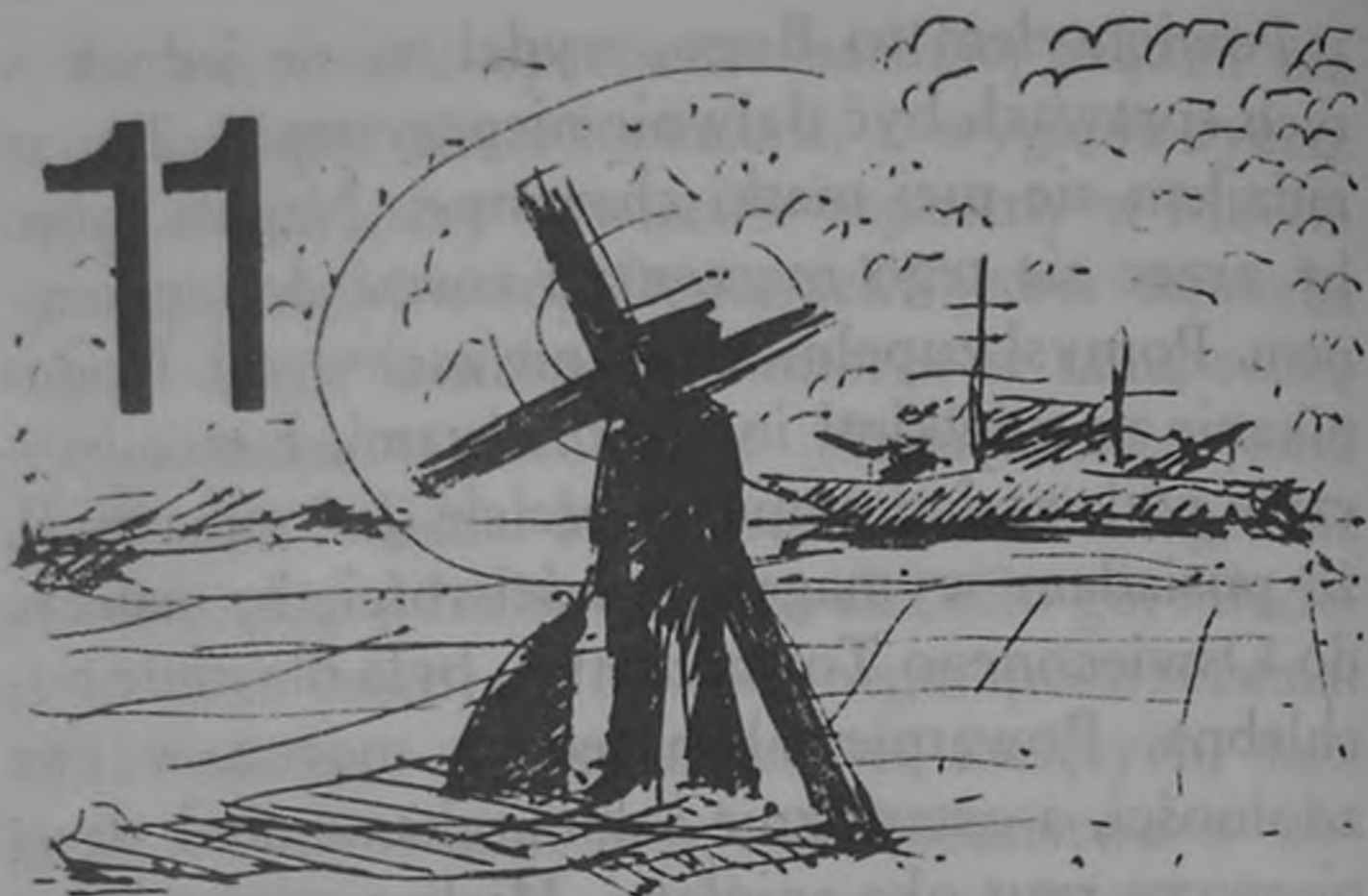
W tym czasie opactwem bardziej rządził niż kierował były oficer kawalerii, z wyglądu rycerz templariusz, który w wieczór zapustny w Moulin Rouge przeżył swój Damaszek: jedna tancerka rzuciła mu w wisielczym humorze w samą twarz garść confetti ze słowami: „Pamiętaj, że jesteś prochem”. Posiadał ujmującą, a zarazem łagodnie przymuszającą duchowość, co skłoniło go, młodego jeszcze przeora, do zabawnego spostrzeżenia: „Nie powinno się kanonizować świętych, lecz tych, którzy z nimi żyją”. Nabożeństwa w obszernej, jasnej kaplicy były wspaniałe w swojej spokojnej harmonii. Mnisi pozdrawiali się wzajemnie z chińską uprzejmością, wręczali sobie nawzajem przedmioty kultu z ostrożnością, jakby trzymali w ręku żywe gołębie, podczas gdy gregoriański chorał pozwalał wzbijać się swym głosem ponad okiełznane fale chóralnego śpiewu. Im piękniejsza jest muzyka, tym więcej tworzy przestrzeni, otwierającej wtedy bramy aż poza gwiazdy.

Nie męczyło mnie przysłuchiwanie się jej, ale w gruncie rzeczy było to jedyne, co mi się podobało. Skoro tylko byliśmy na zewnątrz, chwytła mnie znowu ściskająca za serce melancholia. Od mego dzieciństwa napadała mnie zawsze na równinie, skoro tylko spostrzegłem sprzęt rolniczy pod palącym słońcem, milcząco przyciskającym nas do lepkiej ziemi przy powolnej i surowej pracy natury i człowieka.

Potrzebowałem tylko paru godzin, aby poznać, że nie nadawałem się do życia kontemplacyjnego w jego rolniczej formie i wróciłem do Paryża w głupim przeświadczeniu, iż istniejące między mną i ziemią przeciwieństwo byłoby do przewyciężenia tylko w samotności kartuzów.

Powierzyłem to Bogu, wydał mi się jednak w tych sprawach być dziwnie nieprzystępny. Potem radziłem się mej matki chrzestnej. Nagliła mnie, by zrzec się tego marzenia i zostać dominikaninem. Pomysł zupełnie mnie nie zachwycał. Dominikanie są wielkimi intelektualistami, humanistycznie wykształconymi w Kościele. Już sama myśl, że posiadam wymagane właściwości, by należeć do Oświeconego Towarzystwa, była dla mnie pochlebna. Powątpiewałem jednak mocno w swe zdolności, a ostatecznie i dominikanie nie byli na pierwszy rzut oka aniołami. Miałem wrażenie, że opuścili świat tylko po to, by móc lepiej znowu do niego powrócić, a powtarzam to z rosnącym zawstydzeniem — świat mnie nie interesował. W trwającym poczuciu szczęścia, które czerpałem z modlitwy, wierzyłem zresztą, że się już od niego oddaliłem.

Zostałem tam doprowadzony wojskową przemocą.



Aniołów nie indagowano wtedy wcale ani w prasie, ani w marynarce. Wstąpiłem do marynarki dzięki pośrednictwu pewnego przyjaciela mego ojca, nie będąc zapisany ani jako poborowy, ani jako ochotnik. Chciałem być marynarzem. Po tym wszystkim, co słyszałem z opowiadań o nędzy piechociarzy i błocie w rowach strzeleckich, wolałem umrzeć w wodzie.

Gdy pierwszego września 1936 roku przekraczałem okratowaną bramę 2 Składu Marynarki, nie czułem naturalnie, że Opatrzność wysyła mnie tym samym prawie na dziesięć lat pod sztandary: sześć w marynarce, reszta lat w armii podziemnej względnie w więzieniu. A to znaczyło milczeć i dalej służyć.

Rzucono mi do rąk to, czego potrzebowałem, aby ubrać mnie na niebiesko oraz kilka kawałków do zmiany. Wszystko miałem włożyć do okrągłego worka, który powinien był na apelu zachować czworokątny kształt. Po godzinnym usiłowaniu, by rozwiązać tę kwadraturę koła, mój worek wyglądał jak serwolotka skręcająca się w skurczach żołądkowych. Ten żalosny rezultat, przypisywany brakowi dyscypliny wynikającemu ze świadomości

mości, że się jest synem ministra, utrudnił moje pierwsze kroki w tej szanownej instytucji. Nie pomagało mi też jakieś nieszczęsne ukształtowanie zmarszczek na twarzy, użyczające mojemu najbardziej przyjaznemu uśmiechowi wyrazu nieznośnej bezczelności. Przy tym wszystkim armia żywi mało sympatii dla rekrutów, ostatecznie przez nią samą wybranych. Byłem bardzo nieszczęśliwy, że jestem tak niezrozumiany i traktowany jak obywatel trzeciej kategorii. Ponieważ na razie nie wiadano, do czego można mnie użyć (przecież dziennikarz jako taki jest nieużyteczny w tej wielkiej milczącej instytucji), polecono mi zdać lekki egzamin z pisowni i pisania na maszynie. Ponieważ stukałem trzema palcami, czyli jednym więcej niż przeciętny męski stenotypista, mianowano mnie pisarzem. To wyniosło mnie do drugiej klasy, lecz zarazem uwięziło w biurze. Po sześciu miesiącach nie zobaczyłem jeszcze żadnego okrętu, najwyżej w niedzielę w porcie. Potem przeniesiono mnie do Paryża i wsadzono do jakiegoś — nie wiem już do którego — urzędu ministerstwa marynarki. W każdym razie wyfroterowałem bardzo wiele parkietów.

Moje życie pozostało nadal życiem mnicha w świecie. Rano szedłem na pierwszą mszę do kościoła świętej Magdaleny. W ministerstwie odmawiałem w całkowitej ciszy „Małe oficjum świętej Maryi Panny”, rodzaj brewiarza dla świeckich. W południe spędzałem godzinę modlitwy u świętego Rocha. Moi towarzysze zapewniali mnie, że cały personel ministerstwa pozostaje przez pewien czas pod obserwacją i że najprawdopodobniej jestem inwigilowany przez inspektora służby informacyjnej lub przez kontrwywiad. Gdyby to było

prawdą, to prowadziłby ów doskonały człowiek życie wewnętrzne o wyjątkowej intensywności i może byłby dzisiaj zamiast mnie trapistą lub kartuzem.

Po tej godzinie, spędzonej w słońcu tabernaculum w zwykłym stanie błogości, udawałem się do małej restauracji w sąsiedztwie i powierzałem swe myśli memu aniołowi stróżowi. Aby mi nikt nie przeszkadzał, kazałem sobie codziennie rezerwować dwa nakrycia. Gospodyni, potężna dama od serca, uważała mnie za ofiarę zawiedzionej miłości i śmiała się do mnie z wysokości swego stołka przy kasie, pełna bolesnego współczucia.

Po południu, w przerwie między froterowaniem parkietów w dwóch salach, odmawiałem różaniec, który zawsze wydawał mi się zbyt krótki. Nigdy nie było dla mnie za dużo „Zdrowasiek”, które stają się w jakiś cudowny sposób wywiadowcami, jeśli pozwala im się biec nieskrępowanie do swego celu, a nie trzyma się ich jakby na jakiejś linie. Po godzinach służbowych szedłem jeszcze powitać tego czy innego przyjaciela, zanim się zabrałem do lektury świętej Teresy z Avila. Zawsze żywiłem i żywię dla niej bezgraniczny podziw. Odwiedzałem jej *Twierdzę duchową*, postępowałem za nią na *Drodze doskonałości*, naturalnie nie myśląc o tym, by jej naukę stosować w praktyce. Jej osoba i jej myśli przykuły mnie. Dzieliłem jej troski i ćwiczenia, brałem namiętnie jej stronę w sporach, które toczyła z klerem. Gdy otrzymała łaskę z nieba, byłem tak pełen dumy, jak gdyby ten znak był nie tylko nagrodą dla jej zasług, lecz także za moją bystrość. Sądzę, że i ona odpłaciła po stokroć moje przyjazne myśli, kiedy kazała mojej pierwszej córce przyjść na świat dobre trzy tygodnie za wcześnie, właśnie

w jej imieniny, to jest piętnastego października, jak sobie tego życzyłem.

Takie istnienie wydaje się teraz absurdalne lub lekko zwariowane. Co można myśleć o zdrowym, młodym człowieku na progu życia, który sześć godzin dziennie spędza na modlitwie, a resztę swego czasu aż do ostatniej minuty przed zaśnięciem poświęca duchowej lekturze, który denerwuje się z powodu przypadkowej nieuwagi i zarzuca sobie, że nie utrzymuje spojrzenia skierowanego na niewidzialne wyżyny, skąd pochodziła jego radość? Niebo było moim naturalnym żywiołem. Czy ryba skarży się, że połyka za dużo wody?

Narzucano się jeszcze pytanie: A twój bliźni, a świat? Czy Chrystus nie dlatego wszedł do historii, aby ją ratować?

Z pewnością, ale dopóki historia, tak jak ją przeżywamy bezmyślnie i w zgiełku, jest gotowa łączyć się z planem Bożym, który Bóg mógł mieć względem niej. W takiej sytuacji widziałem mojego bliźniego! Społeczeństwo wokoło niego działało jak maszyna gotowa do wymóżdżenia w dosłownym i przenośnym znaczeniu, fizycznie i psychicznie. Okłamywało go na wszystkie sposoby. Jako życie wieczne oferowało mu iluzję przeżycia w dużym kolektywie z dodatkową obietnicą dalszego biologicznego istnienia gwarantowanego przez genetykę. Mówiono mu: „Człowiek sam dla siebie jest niczym”, aby go doprowadzić do wyrzeczenia się zdolności własnego rozstrzygnięcia, co tak bardzo przeszkadza politycznym władzom. „On egzystuje tylko dzięki pozostawaniu w stosunkach z innymi, jego prawo do egzystencji leży we wspólnym dziele”. Żądano, by zniknął

w masie. Z całą pewnością kochałem mojego bliźniego, prawie w połowie zurbanizowanego i demoralizowanego, ogłuszonego dla większej pewności przez zgietk fabryk i radia, oślepionego przez niezliczone zasłony ustawiane między spojrzeniem a naturą. Kochałem go za jego wielką samotność i słabości, ze względu na jego niezdarność, drżenie powieki, opryskliwą odmowę — po prostu za nic. Czy mogłem uczestniczyć w podziwianiu pewnych kaznodziejów obecnego wieku? Przecież stulecie to dopiero co wymordowało miliony, drugich okłamało w nadziejach, gotuje się wytępić innych, całe miasta i narody w największej ofierze ludzkości wszystkich czasów.

Po dwu latach służby wojskowej pełnionej z religijnym zapałem i czternastu dniach wolności znalazłem się w 1938 roku w Tulonie na nowo powołany wraz ze wszystkimi stojącymi do rozporządzenia rezerwistami do wojskowego akompaniamentu kapitulacji monachijskiej.

Mój nabożny rozkład godzin nie został przez to w najmniejszym stopniu zakłócony. Nie miałem tu nic do froterowania. Parkiety były teraz całkiem zwyczajnymi deskami, które przynależni do „trzeciej klasy” myli strumieniami wody. Wszyscy czekaliśmy na specjalny przydział, który nie nadchodził. Hitler, który obchodził się z demokracjami jak postacie markiza de Sade ze swoimi więźniami, w ciągu dwu lat doprowadził swoich przeciwników po raz trzeci do poddania się. Moi towarzysze oraz ja sam nie widzieliśmy nic przykrego w fakcie, że wojna nie wybuchła momentalnie. Nie byliśmy wielkimi politykami. Demobilizacja marynarzy kazała na siebie dłużej czekać niż mężom stanu i zapytywaliśmy się, czy nie

będą nas trzymać pod sztandarami aż do następnej konferencji pokojowej. Raptem dowiedziałem się, sam nie wiem jak, że w najbliższym sąsiedztwie istnieje klasztor zamieszkały przez kartuzów. Pospieszyłem tam. Nikt nie mógł mnie powstrzymać!

Klasztor kartuzów Montrieux nie ma urzekającej piękności Grance-Chartreuse, widocznego z przeciwległego stoku. Tamten jest śnieżnobiały, leży na tle ciemnozielonego świerkowego lasu, jakby rysunek zamku w delikatnie iluminowanym, średniowiecznym rękopisie. Ten zaś klasztor jest mały, przyjemny, otoczony przez skromny ogród kwiatowy; tu zakon wysyła swych rekonwalescentów i starszych ojców, którzy nie znoszą górskiego klimatu. Zaraz przy wejściu opowiedział mi brat furtian o metodzie modlitwy, której pisaninę właśnie ukończył. Zakonnik ten był kiedyś dosyć dobrze znanym w Paryżu anarchistą. Stąd też sporządzał swoje modlitwy jak bomby, gdy zebrane myśli mocno pomieszał. Świece musiały mu służyć jako łatwo zapalne lonty. Zaprowadził mnie do przeora, który ani o mobilizacji ani o Monachium nic nie wiedział i wykazywał mało chęci, by się coś o tym dowiedzieć. Przyjaźnie uśmiechając się, siedział złożony ręce na kolanach i podczas opowiadania przysłuchiwał się uważnie, a w jego jasnych oczach można było zobaczyć odzwierciedlający się błękit nieba.

Był wieczór. Zaprowadzono mnie do małej izdebki na dole, którą wkrótce opuściłem na nabożeństwo. U kartuzów odprawia się je w dwu częściach, z przerwą, po której człowiek czuje się bardziej rozbitym niż wypoczętym. Wysoka,

wąska kaplica, bez bocznych naw, była jeszcze pusta. Jeden jedyny mnich modlił się przed głównym ołtarzem, według zwyczaju kartuzów leżąc krzyżem na stopniach ołtarza. W takiej postawie, gdyby odjęto się schody, pozostałoby wrażenie serafinów korzających się przed światłem. Mnisi ciągnęli powoli i poważnie jak sędziowie, którzy wchodzą do trybunału i bałem się, że zostaną uznani za nazbyt płochego. Czyżbym dobrze odnalazł tu swoje miejsce, czyż byłby tu ten okręt, który miał mnie uprowadzić? Miałbym się wliczyć do zastępu tych cichych wioślarzy chylących się pod zmiennymi uderzeniami psalmów, wśród szelestu kapturów i wielkiego milczenia, w którym nie słyszało się nic oprócz bicia wiatru w wysokie okienka, a od czasu do czasu odgłosów stąpania i stuku o drewniane ścianki ławek? A może ta skłonność przejścia do absolutu w tej radykalnej formie, którą spodziewałem się tu osiągnąć, była tylko zamaskowaniem mej słabości wobec świata? Czy to, czego szukałem, nie było po prostu możliwością, by prześliznąć się chyłkiem z tego świata do drugiego? O tym jeszcze miałem się przekonać.

Uczyłem się przede wszystkim rozumieć różnicę między kontemplacją, to jest rozważaniem, a życiem kontemplacyjnym. Kontemplacja jest sposobem bycia ducha, który potem chce wszystko powiedzieć w jednym słowie, wszystko oznaczyć jednym imieniem. Duch wie, że poznanie zawsze schodzi się na końcu z miłością, której ono jest myślowym odpowiednikiem i może się bardzo dobrze zadowolić tym, iż ustalił tę wspólną relację — i na tym poprzestał.

Natomiast życie kontemplacyjne jest to twarde, mozolne samowylaszczenie, samowyrzeczenie

się stworzenia, które na mocy mistycznego oddania się dla dobra innych zwraca Bogu część swojej wolności, którą ON przyciągnął do siebie.

Nic w tym dziwnego, myślałem sobie, że kartuzi wynaleźli mocny likier. Obróbka, jakiej w alembiku podlegają rośliny, przypomina im wrażenia i uczucia, przychodzące im zawsze w ich samotności i dobrowolnym wyrzeczeniu. Zamiast je zaraz przelać na papier albo na płótno, albo uchwycić w myślach, działaniu lub wspomnieniach, pozwalają im osiągnąć w sobie ów punkt zbieżności, gdzie poznanie i miłość jest jednością.

Czy byłem w stanie postępować za przykładem ich wyrzeczenia? Nie odkrywałem w sobie niczego, do czego byłbym rzeczywiście przywiązany tak, by to mogło przedstawiać jakąś przeszkodę. Ale nie wystarczy, by nie być uzależnionym od niczego, a być zdatnym do wyrzeczenia. Zresztą nie miałem najmniejszej skłonności do samoanalizy i nie znałem swych rzeczywistych zdolności. Po łasce Jego przyjścia największą, jaką mi Bóg okazał, jest ta, że niczego nie widzę, gdy siebie obserwuję.

Jaką drogą powinienem był pójść? Powróciłem do mego archiwum, nie dowiedziawszy się, czego pragnąłem: nie tyle odpowiedzi, lecz całkiem po prostu i zwyczajnie „przedstawienia”. Tak jak stałem się katolikiem dzięki cudownej mocy, oczekiwałem, że w ten sam sposób zostanę kartuzem. Czy nie powiedziałem, że moje nawrócenie zrobiło ze mnie „dziecko, którym nigdy nie byłem”? I to dokładnie w tym znaczeniu, jak to się zdaje rozumieć Ewangelia, gdy mówi nam: „Jeśli się nie staniecie jako te dzieci, nie wejdziecie do Królestwa Niebieskiego”. W moim przypadku operacja przebiegała w odwrotnym sensie, to znaczy, kie-

dy wstąpiłem do Królestwa Niebieskiego, odmłodziłem, lecz kontrpróba udowodniła tylko o tyle lepiej ważność przepisu. Odtąd nigdy więcej nie opuściło mnie przeświadczenie, że duch dziecięctwa należy istotnie do chrześcijaństwa i przyszłoby mi równie mało na myśl żądać „dojrzałej ofiary” jak pomarszczonej czy brodatej wiary. Jest mało prawdopodobne, by ktoś znalazł Boga, jeśli nie zachowa owej zdolności podziwiania lub jej nie odzyska po stracie. Owa zdolność używa oczom dziecka swego blasku, a czasem jest tłumiona przez przyzwyczajenie i całkiem określony, bardzo francuski sposób wychowania. To jest chorobliwa trwoga uchodzić za głupiego, która prowadzi do tego, by kłamać z zasady i zamykać oczy z ostrożności. Ten jest poeta, kto widzi nie patrząc — powiedział Paul Claudel. Francuskie wychowanie wydaje poetów, którzy patrzą — nie widząc i przez całe życie złoszczą się na to, że jeszcze przed Paulem Valerym nie powiedzieli „Partenon jest przede wszystkim stosem kamieni”. Nie znajdzie się Boga, jeżeli z góry wyklucza się przyjęcie piękności przewyższającej to, co zostało uprzednio przepowiedziane.

Przypadkiem niedawno przyjąłem chrzest, a nowo narodzeni są rzadko zblazowani. Nie troszczą się także bardzo o swoją karierę. Szczęśliwy stan niewinności, w jakim się znajdowałem, pozwalał mi także w tym względzie powierzyć się dłoniom, które mnie uchwyciły po to, by znowu osadzić tam, gdzie chciały mnie mieć.

Zdarzenia przyszły z pomocą mojemu niezdecydowaniu, gdy z roku na rok przesunęły moje zwolnienie ze służby wojskowej. Zwolnieni po układzie w Monachium, zostaliśmy na początku 1939 roku na nowo powołani. Hitler szykował się

do zajęcia Czechosłowacji, a zachodnie demokracje nie wiedziały, jak go powstrzymać lub udo-bruchać. Długo nie mogły już więcej odwlekać swojej odpowiedzi na Hamletowskie pytanie „Być albo nie być”. Byli żołnierze pierwszej wojny światowej znaleźli znowu audytorium i podjęli od nowa swoje przerwane opowiadanie. Przyjaźnie trudzili się, by nauczyć nas korzystania z ich doświadczeń i sami dziwili się, że przeżyli sprzy-siężenie ołowiu, gazów i ognia, które zniszczyło wielu ich przyjaciół. Świat przedstawiał im się tak, jak go zawsze widziałem od dnia, gdy mnie w pe-wnej piwnicy Belfortu bomba zbudziła do życia: pełen absurdu, hałasu, szaleństwa i strachu i to wszystko w najpiękniejszym obramowaniu, jakie sobie można wyobrazić, pod Drogą Mleczną. Le-dwo czytałem gazety, które nie miały liter wysta-rczająco czarnych, by wyrazić zatroskanie świata.

Tym razem młody człowiek, który przeciwsta-wił się wszystkim pokusom, wyjąwszy tę, by być aniołem, dostał się do podziemnej centrali infor-macyjnej na głębokości 15 metrów pod placem de la Concorde. Nie wiem, czy istnieje anioł, który mieszka głębiej pod skorupą ziemską, ale pewniej-sze jest, że nie istniał marynarz silniej zakorzenio-ny w ziemi. Krew tryskała mi zawsze z nosa, gdy wychodziłem znowu na powierzchnię i chodziłem do swych ulubionych kościołów z chusteczką przy twarzy. Na pociechę otrzymałem jedną bel-kę więcej i miałem szczęście zdobycia przyjaciela w osobie najwierniejszego z wiernych, Pierre'a Guenosa. Nauczył on mnie w moich godzinach służbowych radiotelegrafu i posługiwania się dale-kopisem, jak również sztuki poznawania w telefo-nie stopni służbowych. Im bardziej butny ton, tym niższy stopień służbowy. Admirałowie nie

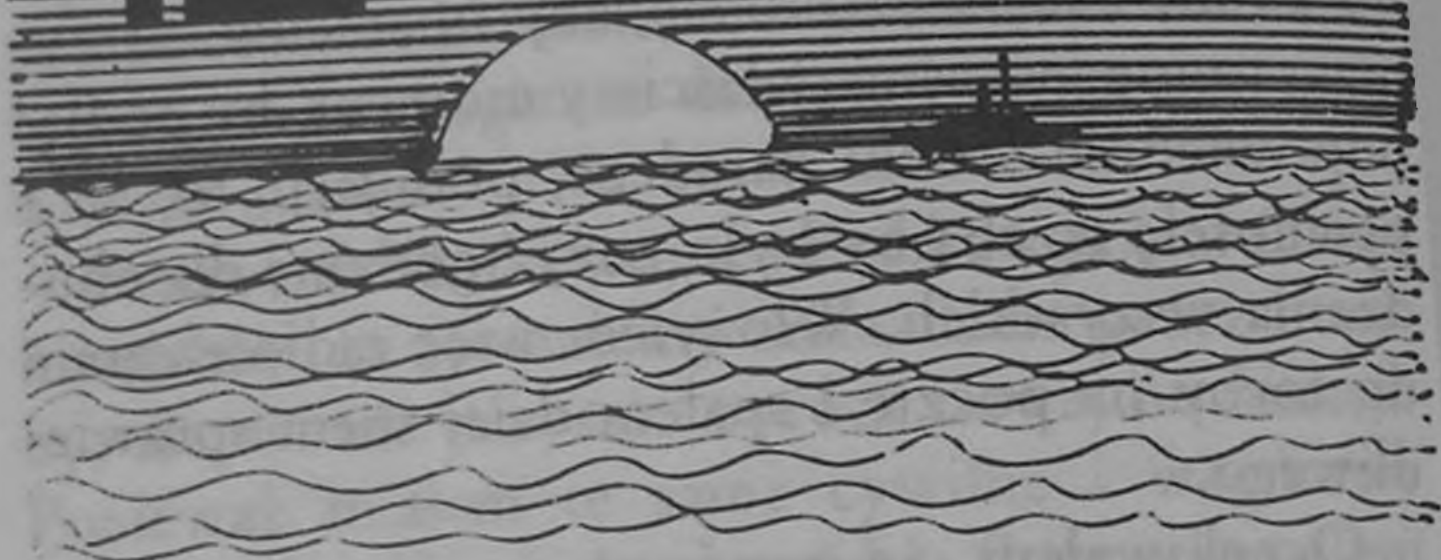
unosili się nigdy, natomiast cierpliwość zmniejszała się ze stopnia na stopień. Dzięki mojemu krwawieniu z nosa zyskałem podoficerskie naszywki, a straciłem sympatię młodych dziewcząt w metro, które paluszkami wskazującym obracały wniwecz siły magiczne tkwiące przy moim czerwonym guziku.

Potem ogłoszono wojnę i Polska zginęła. Oczekiwaliśmy, że zostaniemy zmiażdżeni przez bomby, ale nic nie przyszło oprócz nowej nominacji. Ponieważ miałem te same cywilne i wojskowe dane, co syn admirała, dowódcy floty, ciągnąłem zysk z wydanych dla jego korzyści rozporządzeń i gdy on dla funkcji sekretarza został mianowany oficerem, ja awansowałem także. Kontradmirał, który wręczył nam dekrety nominacyjne, nie mógł wstrzymać się od pomrukiwania, że „czegoś podobnego nie było od Colberta”. Wyciągnięto mnie z mego podziemnego lokalu i przydzielono do biura sztabu generalnego, mieszczącego się na wyższych piętrach. Ponieważ zgłaszałem się dobrowolnie do wszystkich nocnych służb, umożliwiało mi to spędzanie dnia w kościele. W ten sposób dwukrotnie wymykając się światu, spędzałem moje noce na łóżku polowym u stóp rozdzielacza poczty pneumatycznej z zadaniem rozszyfrowywania błyskawicznych radiotelegramów i natychmiastowego kierowania ich do różnych ministerstw.

I tak miałem do odszyfrowania jednej nocy w grudniu 1939 roku wiadomość naszego posła w Brukseli, kierowaną do wszystkich placówek urzędowych, który meldował z wiarygodnego źródła, że niemieckie armie właśnie tego dnia o piątej rano napadną na Francję, Belgię i Holandię. Mówiono mi zawsze, że zimna krew winna być

najważniejszą właściwością oficera marynarki, zaś każda oznaka nerwowości na mostku kapitańskim udziela się zaraz całej załodze. A więc była czwarta godzina rano. Jeśli — powiedziałem sobie — dotąd nie zatroszczono się, aby Niemców zatrzymać, to nie jest teraz właściwy moment, by podjąć odpowiednie środki zaradcze, pomijając to, że z pewnością trzeba by było zużyć godzinę dla obudzenia wszystkich. Włożyłem więc radiotelegram do torby na pocztę i spałem dalej snem sprawiedliwego.

Oczekiwałem, że powinszują mi mojej godnej naśladowania flegmy, a jednak znalazłem się w kilka tygodni później — nie wiem jak — na statku pocztowym towarzystwa transatlantyckiego żeglującego w kierunku Antyli.



„Cuba” była wygodnie urządzone statkiem, wyposażonym na dziobie w małą armatkę, która nie nadawała się do niczego innego, jak tylko aby nas pozwolić wyprawić bez ostrzeżenia przez pierwszą lepszą łódź podwodną na drugi świat. Począwszy od Gaskonii przepływaliśmy zatokę w stałej gotowości alarmowej, wyglądając peryskopów. Jednak uwaga stopniowo słabła, a życie na pokładzie stawało się znów takie, jak w czasie pokoju na statkach pocztowych płynących kursem do Antyli: odprężone i harmonijne. W każdym razie wydawało się, że pasażerowie — panie i panowie — rozumieją to najlepiej, chociaż przeważnie rozmawiali ze sobą półgłosem w ciemnych kątach, aby nie zobaczyły ich ani usłyszały łodzie podwodne. Przydarzyło się także, że wypłoszeni przez fałszywy alarm, jedni uciekali do drugich. Potem rano, wyraźnie zmieszani, konstatowali, iż poddali się natychmiastowej panice. Ponieważ przewidywałem długą podróż i znałem swoją małą zdolność nawiązywania przyjaznych kontaktów, nabrałem wiele książek, moją świętą Teresę, Chestertona i dwadzieścia kilo filozofów od Spinozy do Bergsona. Ich nauki postanowiłem so-

bie zebrać według mego przyzwyczajenia na ośmiu do dziesięciu stronicach. Ale gdzie je czytać? Żeglowanie i myślenie o filozoficznych systemach nie idą z sobą w parze. Skrzypienie skrzynki na busolę, głuchy huk tłoków w maszynowni, silne, a przecież daremne dążenie okrętu, by zejść z punktu środkowego kolistego horyzontu i powolny, rotujący ruch nieograniczoności dookoła, ustawiały między przestrzenią i czasem niezwykle związki. Atrament z wygotowanych przeze mnie filozoficznych urojeń rozpuszczał się w morzu jak czarna wydzielina ośmiornicy. Żadna strona jakiegokolwiek filozofa nie wytrzymywała konfrontacji z kołyszącym się morzem, które na tle nieba falowało w górę i na dół i przemawiało słowami Biblii: „Na początku Bóg stworzył niebo i ziemię; ziemia była jeszcze bezkształtna i pusta. Ciemność była nad otchłanią, a Duch Boży unosił się nad wodami”. Unosił się nad wodami przekazując im niejako przez odbłask swój plan. W ten sposób tworzył początek długiego, zażyłego porozumienia religii z tym płynnym a równocześnie łączącym elementem, który z tej relacji między duchem a surową materią w jej ruchliwej przejrzystości otrzymywał coś z boskiego unoszenia, co teraz we chrzcie świętym pozwala w nas spływać.

Żaden z mędrców nagromadzonych w moim bagażu nie powiedział jednego słowa zdolnego unieść się ponad spiętrzoną otchłanią, którą miałem przed oczyma, z wyjątkiem jednego Arystotelesa. Wypowiedział on owo niesłychane słowo: „Bóg porusza świat jak ukochany przedmiot”, najpiękniejsze i najprawdziwsze, jakie kiedykolwiek mogło wyjść z ludzkiej, jeszcze nie oświeconej przez Objawienie, inteligencji. Te sło-

wa przeleciały nad horyzontem. Inni „pasażerowie” mojej torby podróżnej nie domyślali się, że natura w ten sposób mogła zostać poruszona i do tego przynaglona, by wrócić do swego źródła. Zaciągali cienką sieć swoich dowodzeń jak pająki w kąciku muru. Odłożyłem całą lekturę ich dzieł do dnia, gdy znowu zamknę się w jednym pokoju i powziąłem filozoficzną decyzję, by pozwolić się kołysać przez radość i ocean.

Przyzwyczajony do pewnej samotności i bynajmniej nie opanowany ofiarnością moich towarzyszy, stale gotowych czynić ze swoich ciał ochronny wał dla współpasażerów, a w dodatku mających tylko jeden jedyny temat do rozmowy, nie zawarłem żadnych przyjaźni. Kilka przykrych doświadczeń odwiodło mnie od tego, by opowiadać swoją historię. Po prostu nie wierzono mi lub nawet żałowano mnie w cichości, że moja żywa fantazja spłatała mi taki kiepski kawał.

O, te speszzone, życzliwe spojrzenia, a przede wszystkim obojętność, ten całkowity brak ciekawości, by słuchać wiadomości przyniesionych skądinąd, które płonęły mi na ustach! Albo powtarzało się wieczne pytanie: „Co się zmieniło w pańskim życiu?”, czasem postawione w utylitarnej formie: „Co daje panu wiara?”

Co zmieniło się w życiu uzdrowionego ślepeca? Co przynosi muzyka głuchemu, który odzyskał słuch?

Z objazdami wzdłuż afrykańskiego wybrzeża i wieloma postojami w portach Archipelagu Karaibskiego potrzebowaliśmy ponad miesiąc, by osiągnąć Port-de-France. Nikt nie uskarżał się na długość podróży i zaledwie stanęliśmy na kotwicy,

wszyscy zdawali się zapomnieć o całym pozostałym świecie.

Znałem tę wyspę, ponieważ przed około dziesięć laty towarzyszyłem tam memu ojcu, gdy był on jej deputowanym. Nic się nie zmieniło. Egzotyczna Ofelia, cesarzowa Józefina, straszyla jeszcze w swej królewskiej szacie, z koroną na głowie, ciągnąc przez dzikie, stepowe trawy sawanny. Jeszcze zawsze sprzedawano pod słonecznymi parasolami orzechy kokosowe i banany, nie większe od kciuka. W sztabie admirała — wysokiego komisarza Antyli — mieszkającego w jednej z will rozrzuconych po okolicznych pagórkach, wyjaśniono mi, że ani w pokojach, ani przy wspólnym stole nie ma dla mnie miejsca i zakwaterowano mnie w jakimś hotelu, samego i zupełnie zadowolonego z takiej sytuacji. Poza godzinami służbowymi byłem zupełnie wolny. Mogłem smażyć się przy wulkanie, zachwycać się do upojenia morzem z jego cudownymi rybami oraz wybijać wilgotnym lasem. Gwiazdy iskrzące się w nocy są tak blisko, że wydają się spadać na głowę i znikają jak śnieżynki przed szybą ochronną. Podziwiałem plantacje ananasów przy zachodzie słońca, gdy światło ocierające się o ziemię używa ostatniego ognistego blasku ich srebrem inkrustowanym doniczkom. Przyglądałem się małym, zielonym, wysoko na palmach wiszącym wachlarzom lub kobietom pozostawiającym za sobą — kiedy przechodzą — opalizujący, fosforyzujący warkocz komety błyskającego kurzu...

Nie byłem wystawiony na próbę w tym sensie, że pokusa poprzedza upadek. Czułem tylko, że natura serdecznie mnie zaprasza, by ją bliżej oglądać i znajdowałem coraz mniej wymówek, by odrzucać jej miłe zaproszenia. Czyż Bóg jej nie

kochał? Tak, On ją kochał. Jego wcielenie nie pozwalało w to wątpić. Uwiecznił swą miłość na wszystkie możliwe sposoby: przez niepojętą moc, dzięki której utrzymuje przy życiu wszystkie rzeczy; przez tę w naszej historii osadzoną Eucharystię; przez ową szczególną formę obecności, która przyciąga duszę ludzką ponad nią samą do tego misterium, do jej naturalnego pożywienia; przez tajemnicze samowygaszanie się, które pewnego dnia sprawiło pierwsze uderzenie pulsu stworzenia i jego płonące życie, niszcząc sprzeciw próżni. Wiedziałem, że Bogu nie można się podobać przez systematyczne niepostrzeganie Jego dzieła. Tymczasem właśnie to czyniłem. A ponieważ, ściśle biorąc, nie posiadałem ani tak zwanego „życia wewnętrznego”, ani „moralności” — nie chciałem po prostu odwrócić wzroku od piękności wprowadzającej mnie w zdumiewający zachwyt, aby go potem skierować na nędzny przybytek, jaki moja osoba mogła jej ofiarować. Z drugiej strony nie czułem w bezchmurnym niebie, w którym się unosiłem, żadnej potrzeby, aby opierać się moralności. Zdawała się ona być dla chrześcijańskiego życia w przybliżeniu tym, czym jest sterowanie na ślepo statkiem powietrznym. Wszystko zależało od mojej czujności i zdecydowania, by ukierunkowanie mej duszy nie odchyliło się o jeden jedyny stopień.

Stawałem się jednak teraz trochę mniej pilny w przestrzeganiu moich zasad. Wkrótce opuściłem jedno kazanie, potem jedną mszę świętą, na pokładzie z braku kapłana, zaś na lądzie z braku czasu, a później energii i tak zaistniały dziury powietrzne w mej nawigacji. Już podczas przejazdu złapałem się pewnego ranka przy obudzeniu na myśli, że pewna młoda współpasażerka, która mi

nie zawsze schodziła z drogi, właśnie wtedy, wa śniadanie. Śledziłem ten wzrost zainteresowania z ostrym uczuciem alpinisty, który spostrzega, że się starzeje. Jeszcze nie zrzekłem się tego, by być aniołem, nie czułem jeszcze potrzeby, by udać się w świat.

A świat mi się gwałtownie narzucał. W sztabie rozszyfrowywałem tylko błahe radiotelegramy, gdy niespodziewanie stały się one wszystkie bardzo ważne. Od 10 maja 1940 roku przynosiły nam wspólnie z amerykańskim radiem tylko bardzo ciemne wiadomości, donosiły o wkroczeniu Niemców do Francji, o cierpieniach naszych rodaków, o zawieszeniu broni. Kulistość ziemi odebrała nam możliwość usłyszenia apelu generała de Gaulle'a, lecz razem z kontradmirałem kreolskiego pochodzenia kilku spośród nas miało nadzieję, że marynarka stanie po stronie Anglii. Byliśmy gaullistami, nie wiedząc o tym. Admirał — Wysocki Komisarz ociągał się. Rozporządzał mało znaczącą flotą, samolotami i częścią rezerw złota banku francuskiego. Mądra głowa i dyplomata, jakby wyjęty z powieści Juliusza Verne'a ze swoimi bokobrodami i kapeluszem panama, nie wiedział dobrze, na co się zdecydować. Lawirował, wspierany przez znajdujących się wśród nas zwolenników Petaina, pertraktował z Amerykanami zdającymi się troszczyć o los jego kasy wojennej i naśladował ostatecznie generała Nougessa, który rządził w północnej Afryce i wyczekując — przyglądał się z daleka.

Kreolski kontradmirał, chociaż żaden dyplomata, był zdecydowany zorganizować okręt i przewieźć nas do Kanady, gdy niespodziewanie zmarł. Nieliczni gaulliści w marynarce trwali też w oczekiwaniu.

kiwaniu, zmieszani i zarażeni dyplomatycznym bakcylem (wśród ludności tym lasecznikiem zarażeni byli niemal wszyscy). Jakoś nie przyszła nam do głowy najprostsza myśl, by wziąć łódź i przybić nocą do dwu amerykańskich krążowników, które strzegły naszych ruchów na granicy wód terytorialnych. Przecież żyliśmy w złudzeniu, uważając za niemożliwe, by admirał pewnego dnia nie wykorzystał swojej wolności. Odkładaliśmy więc z dnia na dzień naszą nadzieję. Nie mogliśmy sobie wyrobić jasnego obrazu o tym, co się działo we Francji. Jednak mowy w Vichy, bez względu na to, czy wygłaszano je pod fizycznym przymusem, czy też nie, oburzały nas i powinny były skłaniać do podjęcia decyzji.

Padło postanowienie, by zwolnić rezerwistów. Dowiedziałem się o tym z zadowoleniem. Stawało się coraz jaśniejsze, że nic nie zrobi się z tych okrętów, tych samolotów, tego złota. Nieszczęścia naszego kraju omroczyły krajobraz, las był mniej zielony, woda mniej niebieska. Dumne, stalowe okręty wojenne, stojące nieruchomo na redzie, były tylko pomnikami rezygnacji, tak jak solona wołowina, co do której każdego dnia miałem nadzieję, że będę ją jadł, była tylko plasterkiem morskiego żółwia.

Oдноśnie spraw ogólnych do moich skromnych obowiązków należało od czasu do czasu zadanie ustalania lub kopiowania tajnych tras, które przekazywaliśmy kapitanom statków transportowych i zaopatrzeniowych odchodzących do stolicy. Trasa „Cuby” (która, skoro mnie przywiozła, powinna mnie też była odwiedzić z powrotem) dawała temu statkowi według mego mniemania wszelką szansę, by został zagarnięty przez Anglików. Faktycznie mu się to też przydarzyło. Na

pełnym morzu, niedaleko od brzegów Afryki, „Cuba” została ze swymi siedmiuset pasażerami skierowana do Freetown.

Niestety, nie byłem między nimi. W ostatniej chwili moje zwolnienie zostało odroczone na trzy miesiące. Ku mojemu żywemu ubolewaniu smukły, szybki okręt bananowy zabrał mnie w styczniu 1941 roku z powrotem do ojczyzny. Płynął nie dostrzeżony przez wiele dni utrzymującego się sztormu, zacieśniającego horyzont. W ten sposób zmniejszała się możliwość, by zostać zagarniętym. Choć nadarzała się sposobność zniknięcia w czasie jakiegoś postoju w porcie, to nie umiałem jej wykorzystać. Nie wiem, czy będzie to pożyteczne, jeśli jeszcze raz powtórzę, że nie byłem człowiekiem czynu.

Zamiast Londynu była to w końcu Marsylia z różnicą temperatur 40 stopni w porównaniu z *Porte-de-France*. Pierwsza osoba, którą spostrzegłem, zmroziła mnie jeszcze więcej. Był to socjalista pełnej krwi, stary przyjaciel moich rodziców, dzielny uczestnik wojny światowej. Oczekiwałem, że będzie mi opowiadał o generale de Gaulle'u, zamiast tego wychwalał marszałka Petaina i dał mi adres moich rodziców. Marsylia w śniegu wydawała mi się szara.

Moi rodzice mieszkali w małej willi w Vichy, na jednej z owych ulic tak typowych dla uzdrowisk, które ze swymi wąskimi, dopasowanymi domami wyglądają jak uszeregowane jedna przy drugiej kabiny kąpielowe. Opuściłem mego ojca przed rokiem, leżącego w łóżku, czytającego gazetę. Na moją wiadomość, że zamierzam wsiąść na okręt płynący do Martyniki, powiedział: „Aha, pięknie, powodzenia”. Od tego czasu prócz kilku

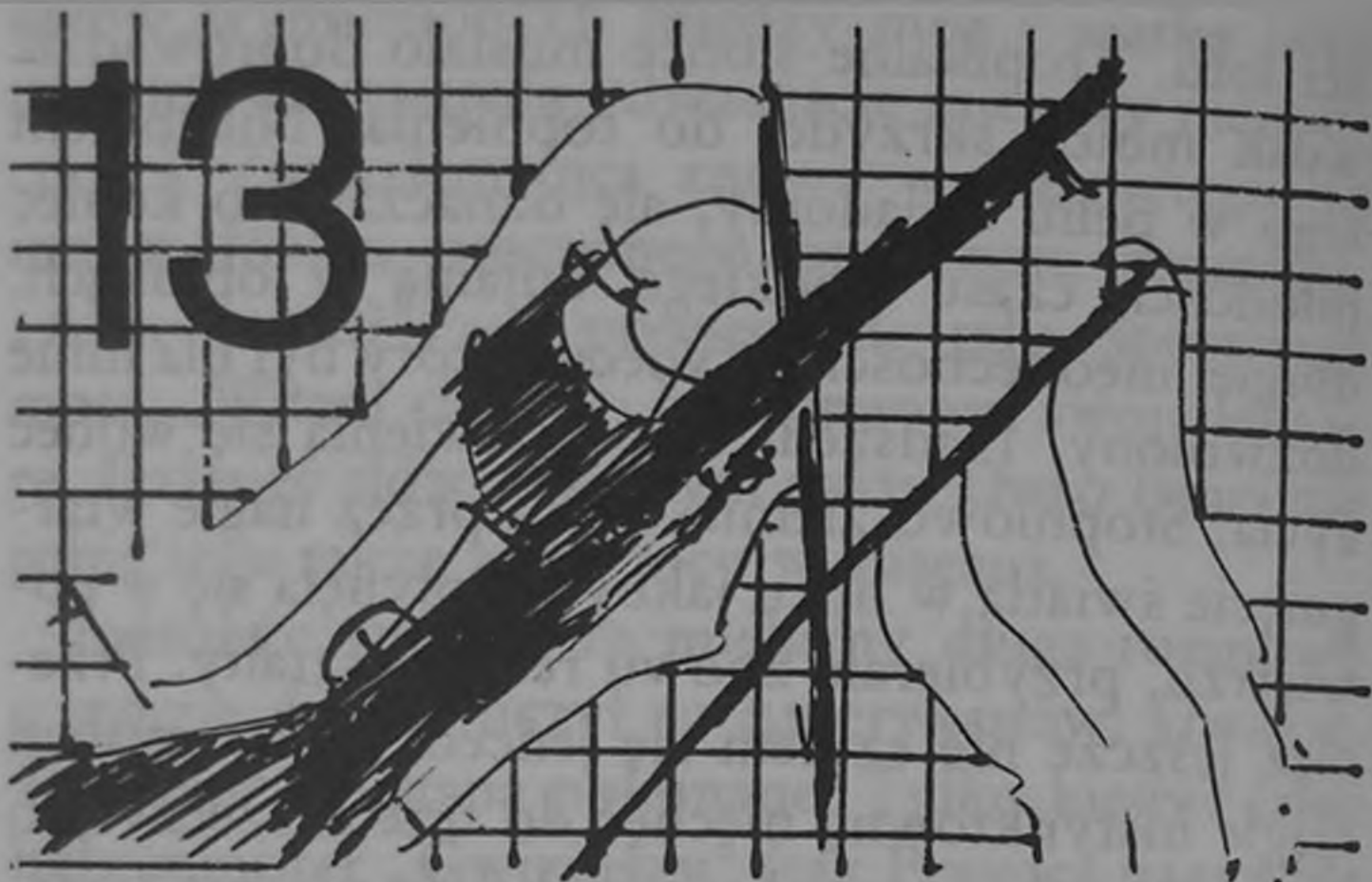
listów wymienionych między mną i matką była narodowa katastrofa i dwanaście miesięcy nieobecności. Znalazłem ojca znowu wyciągniętego na innym łóżku, otoczonego otwartymi gazetami. „Aha, jesteś?” — powiedział, gdy spostrzegł mnie. „Witam cię” — i kontynuował swoją lekturę. Dziesięć słów w jednym roku. Dużo lepiej nie robią tego także zakonnicy w Citeaux.

Jednakże wieczorem mieliśmy długą rozmowę o wojnie. Ojciec liczył na Amerykanów. Uważał, że Niemcy zostaną pokonane. Tylko kiedy? Jako były minister „Gwizjuszy” (tak Prawica nazywała Republikę), były sekretarz generalny partii komunistycznej, a przede wszystkim pół-Żyd, miał wszystkie dane po temu, aby nie podobać się reżimowi i ściągnąć na siebie prześladowanie. Jednakże pozostał w Vichy. Myślał, że gdy będą go mieli na co dzień nie spostrzegą go.

Mylił się. Szaleńcy z narodowej rewolucji grozili mu przypisaniem do statusu żydowskiego, jeżeli nie dostarczy im dowodu, że jego dzieci są chrześcijanami. Moja młodsza siostra, która od dłuższego czasu skłaniała się ku katolicyzmowi (w czym i ja odegrałem pewną rolę), skorzystała ze sposobności, by się ochrzcić i mój ojciec mógł dostarczyć wymagane dokumenty. Człowiek odpowiedzialny głównie za to upokorzenie prosił po wojnie mnie i moją rodzinę — wspominając mego ojca — o przebaczenie. Ten gest wzruszył nas. W jakiś czas później zapalał nasz skruszony przyjaciel znowu swą tępą nienawiścią, która mu zastępowała politykę. Nie zawsze udaje się przebaczyć sobie, że się przebaczyło.

Patrząc z religijnego punktu widzenia od mojego wyjazdu na Antyle ciągle traciłem na wysoko-

ści lotu. Tropikalne słońce musiało doprowadzić
wosk moich skrzydeł do topnienia. Nie byłem
tego w pełni świadomy, ale oznaczało to koniec
młodości, czasu słodkiego bujania w obłokach,
długiej nieobecności w świecie, który był dla mnie
dozwolony. Nadszedł czas ustawienia się wobec
życia. Stopniowo ziemia, która przez nagłe wtar-
gnięcie światła w lipcu jakby rozplynęła się w po-
wietrzu, przybierała znowu realne kształty. Prze-
cież jeszcze nie czułem się jeńcem i odczuwałem
ciągle instynktowną niechęć do trzech rzeczy: do
świata (myślę o tym, którego księżę nie jest dziec-
kiem); do angażowania się (włącznie z angażowa-
niem się do zwykłej pracy); do małżeństwa (z
wszystkimi powiązaniem i odpowiedzialnością,
które ze sobą przynosi). Wszystkie trzy były mi
przeznaczone.



Ponieważ nie chciałem podjąć się znowu zawodu dziennikarskiego, szukano dla mnie stanowiska, które nie wymagałoby szczególnych kwalifikacji. Przyjaciel mego ojca polecił mnie pełnomocnikowi robót publicznych, Marcelowi Gagneraud, który sam prowadził przedsiębiorstwo transportowe na całą okolicę Lyonu z siedzibą w Marsylii. Ten korpulentny, jowialny człowiek zaofiarował mi (gdy upewnił się o moich przekonaniach) bez ogródek dyrekcję swojej filii w Lyonie obok swego syna Franciszka, który miał przejąć Rodan, Alpy i Drome. Franciszek był w równym wieku ze mną i także początkujący w interesie. Będą sobie nawzajem pomagać — myślał ojciec.

Byłem bardzo zdziwiony, że tak ważne postępowanie powierzono dwu niedoświadczonym, młodym ludziom. Pominąwszy to, że Franciszek bardzo szybko okazał swe zdolności, ja także wkrótce odgadłem, iż nasze zadania wymagają mniej fachowych kompetencji, a więcej fantazji i obrotowości. W rzeczywistości chodziło o to, by odbierać Niemcom materiał wojenny zajęty na podstawie umowy o zawieszeniu broni i ukrywać go lub przemalowywać na nowo świeżymi farbami na-

szego towarzystwa. Te działania prowadziliśmy zwykle nocą z ochotniczymi pomocnikami w parku artyleryjskim, gdy komisja zawieszenia broni obracała się plecami.

Przekonałem się, że „życie handlowe” jest daleko mniej nudne niż sądziłem, chociaż, aby strzec cywilnego oblicza naszego przedsiębiorstwa, musiałem się uczyć kalkulować z dostawcami, rozliczać się z klientami, a na końcu jeszcze raz z magazynierami. Pod względem handlowym wszystko szło dobrze, a patrząc ze stanowiska wojskowego zagarnęliśmy w krótkim czasie tyle materiału dla armii podziemnej, że wystarczyłoby to, aby wystawić jedną lub dwie zmotoryzowane dywizje.

Lyon, pokryty dzisiaj betonowym brukiem, był wtedy ładnym miastem we włoskim stylu, jakby wyrysowanym węglem na lekko zwilżonym papierze, zamkniętym jakby w kostkach domina, które ustawiły się rzędem. Ze swymi cichymi ulicami i fasadami domów, wyglądającymi jak twarze z półzamkniętymi powiekami, wznosiło się całe miasto uroczyście do bazyliki. Przypominała ona czekoladowe arcydzieło sztuki cukierniczej, danie przeznaczone do spożycia, a ofiarowane Matce Boskiej, dla której lyończycy mają szczególne nabożeństwo. Często udawałem się tam w moim znowu odzyskanym wozie; materiał pędny pobierałem w jakiegokolwiek stacji benzynowej przy drodze do dworca. Po Mszy świętej spędzałem dłuższą chwilę na tarasie i pogrążałem się w widoku Alp, wznoszących się widmowo ponad okrągłymi cełgami Croix-Rousse, czarnych kościołów i dwu rzek, które swoje oddzielne nurty

zachowują tak długo, aż władczy Rodan zabierze do morza gniewną Saonę.

Cudowne położenie dla głównego miasta. Wszyscy bojownicy ruchu oporu wyznaczali tam sobie rendez vous. Nie miałem żadnych trudności, by spotkać ludzi tych samych przekonań. Nie ukrywali się, świadomi swej małej liczby, albo też życząc sobie, by swoim przykładem dodawać odwagi. Należeli do nich Stanisław i Aniuta, których ku swojej radości tu odnalazłem. Jako supergaulliści bez zmrużenia oka wypełniali osobliwe wskazówki radia londyńskiego, jak np. apel do patriotów, by wyjść na ulicę 14 lipca w barwach trójkolorowych. Stanisław znowu wydawał swoją gazetę, którą cenzura Vichy szybko zakazała. Później wpadł na pomysł, by przy poparciu jednego księgarza z Place des Terreux w Lyonie założyć mały zakład wydawniczy. Omal nie umarł ze śmiechu między dwoma stosami książek, gdy mu wspomniany księgarz radził, by zapewnił sobie do współpracy swoją „dynamikę”. „Dynamika” naszego Franciszka (to jest moje imię chrzestne) była słowem, które podawano sobie w rodzinie z ust do ust. W oczach Stanisława kwant energii Maksa Plancka ze swoimi 36 zerami po przecinku był dla mnie jeszcze za wysoki. Dał mi jednak pokoik biurowy, który służył jako poczekalnia w przejeździe dla wszystkich bojowników ruchu oporu. Nie sprzyjając żadnemu zaangażowaniu (jak to już powiedziano), brałem jednak udział dwa lub nawet trzy razy w większych akcjach, ponieważ moje powątpiewanie, czy armia posłuży się kiedykolwiek ukrytym materiałem wojennym, zobowiązywało mnie uczynić konieczne kroki, by przenieść go do centrum oporu.

Podczas gdy partie polityczne nie otrząsnęły się

jeszcze po szoku klęski, a Francuzi starej daty zawierzyli marszałkowi Petainowi, który obiecywał postawić ich znowu na nogi (gdy bardzo dzielnie klęczeli na kolanach), pierwsi bojownicy ruchu oporu byli głównie lewicowymi katolikami. Dla nich wojna była jedną z najmniej sprawiedliwych wojen w historii. Mieli przed sobą nadzwyczajne zjawisko, zło w czystej postaci, praktycznie bez żadnej ubocznej myśli o dobrym, nawet w postaci ideologicznego monstrum, zrodzonego w skrytości ze starej, filozoficznej, błędnej doktryny, w której inteligencja pomieszała rozsądek ze snem. To, co oni widzieli w działaniu, zionące ogniem i kryjące za płytami pancernymi całkiem mały, przez fanatyzm ściśniony mózg, było tym, co błąd, pomnożony przez kłamstwo, zrobił z człowieka: zwierzę obrabowane z rozsądku. Jeszcze nie wiedzieliśmy o najgorszym, o obozach koncentracyjnych, o gigantycznym mordzie w komorach gazowych. Ale to, co wiedzieliśmy, wystarczyło, by napełnić nas odrazą i oburzeniem.

Ta nasycona zbrodnią i strachem ziemską atmosfera stałaby się nie do wytrzymania, gdyby nie dobroczynny, świeży duch oporu, który nas wszystkich jednoczył.

Drukarz czasopisma *Temoignage chretien* zdumiewał mnie swą prostą odwagą; podobnie księgarz z placu *des Terreaux*, który nosił w swym małym ciele całą, w swojej księgarni zawartą, razem zebraną siłę moralną, jak małe ptaki kryjące w swych gardziołkach trąby Jerycha. On zaznajomił mnie z pewną młodą lyonką, która niedawno straciła ojca, muzykalnego, wykształconego, liberalnie usposobionego lekarza — liberalnego w sensie wolnego od uprzedzeń. Stojąc zbyt wysoko ponad sprawami materialnymi, by być przewidu-

jącym, pozostawił ją z jej ciężko chorą matką w trudnym położeniu, a teraz szukała ona jakiegoś miejsca.

Coś wielkodusznego we mnie skłaniało mnie do tego, by pomagać w biedzie młodym dziewczętom, zwłaszcza gdy były ładne. Nie odważyłem się przecież, aby jej zaoferować miejsce wśród moich kierowców wozów ciężarowych, co wymagałoby jednak specjalnego przygotowania. Ograniczyłem się do tego, by podziwiać jej nosek, który był niezwykle delikatny, później podziwiałem subtelność jej uczuć, potem dzielność, z jaką przyjęła zesłaną jej przez los brutalną zmianę życia. Podziwiałem, że grała na harfie, potrafiła obchodzić się z telefonem i podawać rybę i to wszystko wzbudzało wiele podziwu u wroga zaangażowania.

Moja tajemnicza działalność i moje filozoficzne lektury wywierały na nią widoczne wrażenie. Nie było żadnego filozofa w jej bardzo mieszczańskiej rodzinie. Troszcząc się, by nie przyszła jej do głowy myśl przyciągnąć jakiegoś takiego do siebie, ukartowałem sobie wyjaśnić jej na wszelki wypadek obszernie, że najgorszym błędem, jaki mogłaby popełnić młoda dziewczyna, jest nadmierne pokochanie filozofii, a nawet filozofów bez istotnego wykształcenia, filozofujących tylko dla zabicia czasu w oczekiwaniu końca wojny i odzyskania wolności. Spotykałem ją tak często, jak to tylko było możliwe, aby zapobiec najmniejszym nieporozumieniom między nami w tej materii. Słuchała mnie z wielką cierpliwością. W jej obecności ogarniało mnie całkiem nowe uczucie, zupełnie osobliwe, uczucie egzystencji. To było niepokojące. Kiedy zaszło tak daleko, że przy jej pojawieniu się otaczający świat zmieniał się z szarego

w barwny, pochwyciła mnie panika i rzuciłem się do ucieczki.

Odwiedziłem pospiesznie *Grande-Chartreuse* i opuściłem go po dwu okrążeniach krużgankiem. Ten przybytek duszy był dla mnie za promienny. Trafiłem tam jak sankiulota do Wersalu, który odczuwa trwogę, gdy zobaczy się w zwierciadle. Pojechałem potem do klasztoru trapistów w Dombeles, którego krzepka, wiejska piękność odpowiadała może lepiej mojej sielskiej naturze. Pewien przyjaciel z ruchu oporu, całkowicie pogrążony w tym czasie w życiu duchowym, zmusił mnie tam, bym przeczytał nie ukończony tekst O. Teilharda de Chardin, który powielono fioletowym atramentem na kratkowanym papierze. Ów uduchowiony nurek utwierdził mnie w najwyższym entuzjazmie, że to mało jeszcze znane dzieło godzi religię z wiedzą. Byłem tym tak wstrząśnięty, jak gdyby mnie zawiadomiono, że dobry ojciec Michał Anioł pogodził się z gazownią. Rozmyślałem nad tym urywkiem, który zajmował się „znikaniem ssaków” i byłbym chętnie poszedł z nimi w rozsypkę.

Po powrocie do Lyonu szukałem schronienia przed sobą samym na wzgórzach Saint Just u Stanisława i Aniuty oraz ich córek, w ich domu uzbrojonym spiczastymi wieżyczkami i ostrzami, których widok wywoływał gęsią skórkę. Nie było widać żadnego wyjścia. Myśl, że trzeba podjąć jakąś decyzję, przerażała mnie. Coś podobnego nie zdarzyło mi się jeszcze w całym moim życiu. Spodziewałem się, że zainteresowana dama podejmie ją za mnie, jednak ona zamknęła się w życzliwej neutralności. Oparłem moją nadzieję na oddaleniu i starałem się o inną posadę. Moje towarzystwo wysłało mnie z tym samym zadaniem, jak poprzed-

nio, do Annecy, gdzie byłem zajęty szczególnie przez Włochów w listopadzie 1942 roku — ale nie oderwałem się myślami od Lyonu.

Czy powinienem był zapomnieć o klasztorze, czy o młodej dziewczynie? Myśl o klasztorze wywoływała dreszcz na plecach, myśl o zeniaczce zimne poty. Wreszcie nie istniał żaden dowód — powiedziałem sobie — że druga strona jest zdecydowana na najgorsze. Właśnie ukrywałem moje materiały pędne i gąsienice czołgów (w Górnej Sabaudii wszyscy byli w ruchu oporu), gdy mi to przyszło do głowy. Jak można się też zajmować tak małymi i osobistymi sprawami, gdy w świecie zachodzą wielkie zmiany. Gdy stamtąd, skąd oczekiwałem, nie nadeszła żadna odpowiedź, a również ucieczka i milczenie na nic się nie przydały, mój instynkt powiedział mi po sześciu miesiącach, co należy zrobić. Nie śmiałem dłużej igrać z sympatią, której byłem pewien i zachowywać bez końca prawo wyboru względem młodej dziewczyny. Musiałem z tym skończyć. Pozostawała tylko jedna możliwość, by jej więcej nie widywać od nowa: poślubić ją.

Wziąłem słuchawkę telefoniczną i zaproponowałem mej lyonce małżeństwo. Wielkim problemem w życiu jest, by uwolnić się od siebie samego. Liczyłem na to, że okaże mi tę usługę. Powiedziała „tak” — byłem szczęśliwy.

Moja przyszła żona przedstawiła mnie z lekkim niepokojem niedźwiednika, który nie jest całkiem pewny swego zwierzęcia, całej swojej rodzinie: serdecznej, w szczęściu i nieszczęściu spokojnej, dzielnie znoszącej swą materialną ruinę, ciotce nie posiadającej innego dziecka prócz swojej siostrzenicy, wujowi, lekarzowi i zbieraczowi, który podarował nam akwarelkę przedstawiającą małą pa-

ryską damulkę (ten obrazek straciliśmy potem z oczu), drugiej ciotce, bardzo arystokratycznej, pełnej rezerwy, która szczyła się tytułem swego zmarłego męża, sędziego okręgowego. Ta osoba zaszeregowwała mieszczańskie małżeństwo swej siostrzenicy do zysków i strat narodowej katastrofy, objęła mnie silnie i zapytała o moje zapatrywanie na rząd Vichy w tak elegancko-enigmatyczny sposób, że było niemożliwością, by jej coś na to odpowiedzieć bez rozbicia czajnika. Przy swojej pobożności bolała głęboko nad tym, że nie może w tych smutnych czasach rozdawać jałmużny, ponieważ ubodzy (jak mówiła) nie mogą przecież niczego kupić w sklepach. Potem była jeszcze jedna, błyszcząca klejnotami babka, która nosiła swoje łyzy w uszach (kilka z nich spadło też jej na palce) i która, co do reszty równie nieprzytomna jak ja, była zajęta przede wszystkim tym, by utrzymać w równowadze chwiejne uderzenie niezliczonych lat. To egzaminowanie zabrało wiele dni. Przyszedłem do domu z dobrą notą. Ogólny wyrok brzmiał, że jestem skrytym człowiekiem. W tej dystyngowanej rodzinie — tak sobie powiedziałem — musi się więc być niemym, aby zdać egzamin ustny.

Ślub nasz odbył się w Lyonie w kościele św. Franciszka Salezego. Proboszcz, zwolennik narodowej rewolucji, wygłosił nam zamiast dobrych życzeń kazanie w stylu prokuratorskiej mowy oskarżycielskiej przeciwko republice. Mój ojciec, który mimo swoich przekonań przypadł do gustu swojej synowej, mruzczał za mną parę przekleństw odbijających się głucho jedno po drugim w dalekich kątach, a ja myślałem sobie przy tym po cichu, że musiałbym po raz drugi brać ślub, gdy-

bym chciał go znowu zobaczyć w kościele. Wreszcie proboszcz umilkł, przyjął naszą obopólną zgodę i pojechaliśmy do Annecy, ojczyzny świętego Franciszka Salezego. (Później mieliśmy mieszkanie w Paryżu w dzielnicy św. Franciszka Salezego, zaś moją matka ulokowała się u św. Joanny Chantal. Następnie w Neuilly mieszkaliśmy w odległości kilku kroków od klasztoru, gdzie jest czczona „Czarna Madonna” św. Franciszka Salezego. Mój patron, Franciszek z Asyżu, widocznie zniechęcony, przekazał swoje pełnomocnictwa biskupowi z Genewy, patronowi dziennikarzy i pionierowi *Billet quotidien*).

Po weselu nic nie wydawało mi się bardziej odległym od moich aspiracji niż zostanie ojcem. Stało się to w możliwie najkrótszym czasie.

Dziecko miało zaledwie trzy miesiące, a moje małżeństwo nie trwało jeszcze roku, gdy gestapo w otoczeniu tuzina żołnierzy zabrało nas, Franciszka, mnie i jeszcze kilku innych z siedziby naszego pozornego przedsiębiorstwa. Mieliśmy tę scenę tak często odmalowywaną, że uwięzienie wydawało się nam najpierw raczej jako próba teatralna. Ale dalszego ciągu nie było w tekście. Umieszczono nas do wieczora w piwnicy École de Santé nose do ściany, potem wsadzono po dwu razem skutych na przegubach prawej ręki do małego wozu ciężarowego. Miejsce przeznaczenia: Fort Montluc, niemieckie więzienie. Miasto, jego nieliczne niebieskie światła i przechodnie znikali z naszych oczu przez nie całkiem zaciągniętą plandekę między dwoma żołnierzami, którzy, siedząc jeden naprzeciw drugiego, trzymali kurczowo swoje karabiny i wpatrywali się w pustkę.



Więzienie jest światem dwuwymiarowym. Trzecim wymiarem: przestrzeni, przyszłości i poruszania się nie można rozporządzać. To jest zamknięcie ludzkiej istoty między dwoma murami, podobnie jak owada między dwiema płytami szklanymi rozłożonego w celu badań naukowych, gdy się jeszcze słabo porusza. Albo odwrócona twierdza, która zaciąga swoje mury coraz to ciśniej wokół swoich mieszkańców aż staje się piramidą, w której spoczywa mumia. Skrajną granicę uciszenia osiąga się w celi, w której samo oddychanie zdaje się podwyższać ciśnienie murów jak powietrze na końcu pompy. Wyrażenie „odsiedzieć swój czas” należy brać dosłownie. Więzień nie robi nic innego ze swoim czasem, który się wolno, coraz wolniej wokół niego obraca.

W porównaniu z podziemiami „barak żydowski”, w którym byłem zamknięty, był bardziej ludzki, a zarazem bardziej godny politowania. W mojej książce *La maison des otages* opisałem ten wydłużony barak: „...rodzaj statku normandzkiego, osiadłego na mieliźnie na podwórzu więziennym ze swoim ładunkiem uchodźców. Osiemnaście okien zasmarowanych do trzech czwar-

tych swej wysokości żółtą farbą otwierało się i zamykało tylko na rozkaz ludzi z wehrmachtu. Wpuszczały do środka więcej kurzu niż powietrza, a wypuszczały smutne spojrzenia, które na jednobarwnej szarzyźnie otaczających murów śledziły powolne przesuwanie się cieni. Dwa rzędy piętrowych łóżek były jeszcze połączone „mostem powietrznym”, nad którym ciągnął się pstry obłok różnokolorowej bielizny. Susząc się na jego sznurach wywoływała ona nieprawdopodobne wrażenie powitalnych chorągiewek...

Można było mniemać, że ma się przed sobą międzypokład jakiegoś statku uchodźców, który z pełnym wyposażeniem, zatłoczony ludźmi i zapatrzeniem, po wyniszczającym kołysaniu się przybył na spokojne wody. Wpół otwarte kufry i torby ziewały przy nogach łóżek, które na swoich cienkich, spaczonych podstawach wyglądały, jakby miały za chwilę runąć. Podłoga była zasłana słomą, pordzewiałymi garnkami, starymi pudełkami po lekarstwach i rupieciami wszelkiego rodzaju... Aluminiowe talerze pływały w wiadrach brudnej wody... Skrzypienie przeciążonych łóżek, wiatr, który dął przez szpary ścian z desek, ludzie, obracający się na swych siennikach, lekkie kołysanie się elektrycznych żarówek na drutach, dawały nędznej całości — ściskający za serce — pozór smutnej okrętowej atmosfery. Oficerowie dyżurni, którzy wyrzucali nas każdego ranka, krzyżąc i gestykulując, aby nas policzyć, uzupełniali jeszcze to wrażenie, ponieważ zdawali się obawiać grożącego rozbicia okrętu”.

Nad horyzontem z cementu można było zobaczyć fasadę fabryki i czarne gałązki platanu podobne zwojom dodatkowego drutu kolczastego. Nocą, kiedy leżeliśmy ściśnieni jeden przy drugim

bez możliwości poruszenia się, słyszało się nieraz w potwornej ciszy tego powoli zasypiającego lagru dzwonek tramwaju, którego jasny dźwięk powodował czasem daremny alarm.

W noc Bożego Narodzenia wiele szmerów i trzasków zmusiło nas na naszych legowiskach do nasłuchiwania: zawalenie się stosu desek, biegania w butach podbitych gwoździami, kilkakrotne, rozdzierające noc syczenie czerwonego światła i po chwili dwa głucho uderzenia jakby suchego drzewa — dwa śmiertelne ciosy kolbą zadane dwóm towarzyszom, którzy stracili na chwilę równowagę na pomoście, gdy chcieli przekroczyć pierwszy otaczający mur i których zawleczono na podwórze i załatwiono na miejscu.

Zima wprowadziła robactwo w większe lub mniejsze odrętwienie, ukryła rany pod łachmanami i przykryciami, zmniejszyła niby trochę głód dzięki znieczuleniu ciała. Ale wiosna, która przypuszczalnie rozwieszała na zewnątrz swoje kolorowe girlandy i obwieszczała się na szczycie platanu poprzez rozwijające się listowie, obnażyła we wnętrzu baraku nędzę storturowanych ciał, otworzyła tylko kielichy kwiatowe krwawych ropni. Jeden więzień, który został oparzony, prosił, żeby mu usunąć kawałek skóry, drugi pokazywał powierzchnie rąk nabrzmiałe potwornymi pęcherzami. Inni znowu po torturze kąpieli, zmieniającej w zdrętwiały lód i doprowadzającej prawie do śmierci przez uduszenie, stracili władzę nad swoimi członkami (o tyle, o ile im je pozostawiono). To okaleczone człowieczeństwo było tylko jednym więcej Ukrzyżowanym, odłożonym na bok zanim jeszcze Jego rany przestały krwawić; od czasu do czasu siadały na nie zielone muchy, gdy podkuty but nagle otwierał drzwi.

Na moje pierwsze przesłuchanie czekałem czterdzieści dni. W małym pokoju biurowym École de Santé przedstawił mi smutno spoglądający gestapowiec, ze zwisającymi wąsami i ciężkimi powiekami, dziewięć głównych punktów oskarżenia jak również wiele wyrazów współczucia. Byłem Żydem, ekstremistą, gaullistą, razem z moim przyjacielem Franciszkiem winnym wszystkich możliwych rodzajów występków i przestępstw, na które miał — jak mówił — setki i tysiące dowodów w swoim grubym *dossier*. Zmniejszyła to jego zainteresowanie naszą rozmową. Było faktem, że nie miałem mu nic nowego do powiedzenia na temat wojskowej praktyki, która by nie była sprawdzona przez jego armię na długo przed naszą rozmową po zawieszeniu broni w 1918 roku. Tymi szczegółami nie był skłonny wzbogacać mojego *dossier*. Wobec tego kładł nacisk na to, by mi przez pamięć na moją babkę Schwob przyznać status Żyda. Z tego wynikła ostra dyskusja, z której wyszedłem najpierw jako 50-procentowy, a potem 25-procentowy Żyd.

Podczas przerwy zobaczyłem przez otwarte okno, jak dwa piętra niżej ciężko uzbrojony wartownik pędził przez podwórze całą rodzinę w kierunku piwnicy, babkę i wnuków, ustawionych według wzrostu, a za nimi nie zdradzającą żadnego wzruszenia matkę z niemowlęciem na ramieniu, w połowie zakrytym niebieskim szalem. „Ach! — krzyknął podoficer SS, który przecinał drogę pochodu — to jest przecież cały Izrael!” Tak, to był cały Izrael i jego losy, nie zmieniające się z generacji na generację, który przeciągał tu cicho na tym podwórzu pod zachodzącym słońcem, ścigany jak na pustyni przez żołnierzy Heroda. Okazało się, że melancholijny gestapowiec nie

był nim z powołania, lecz kupcem z Nadrenii zaciągniętym do służby bezpieczeństwa niemieckiej armii z powodu swej znajomości Francji i języka francuskiego. Widziałem go jeszcze kilkakrotnie. Ostatni raz zajął on moje miejsce w Montluc i z rosnącym przerażeniem czekał na wyrok sądu. Sąd postępował z nim nie bardzo surowo, gdyż świadkowie z Resistance świadczyli, że on również obchodził się z nimi po ludzku i prowadził przesłuchania bez jakiegokolwiek okrucieństwa. Przedostatni raz spotkałem w jego biurze ku memu zaskoczeniu moją żonę.

Ona po prostu nie zrażała się. Puszczając na wiatr wszystkie mądre i przezorne rady, udało się jej przekonać Niemców, że mój podpis jest niezbędny na notarialnym przepisaniu mojego spadku na nasze dziecko. Ku swemu zdziwieniu osiągnęła to, o co inni nie wazyli się nawet prosić: widzenie się ze mną. Piętnastominutowe odwiedziny w obecności neurastenicznego gestapowca. I oto była ona, z naszym dzieckiem na ramieniu i mimo ponurego otoczenia świat wydawał mi się piękny. Jak zawsze między mężczyzną i kobietą, gdy działa czar czegoś nieodwołalnego (a przez podwójne, otwarte „tak” wszystko zaczęło się od nowa), ów kwadrans był rajskim ogrodem przed upadkiem albo także po nim, ale opuszczonym. Miała wiele do powiedzenia, czego nie powiedziała, i ja prawie nic nie mówiłem, gdyż byłem za bardzo zajęty wciąganiem świeżego powietrza, oglądaniem listowia i łąki, której tam wcale nie było. Niepokoił ją kawałek metalu, który nosiłem na palcu i który brała za ogniwo łańcucha — a to był ząbkowany różaniec. W końcu „anioł” z ognistym mieczem w swoim opryskliwym, nowo-

czesnym wcieleniu uniósł się i zamknął znowu Biblię.

To była Wielka Sobota.

W żydowskim baraku życie zadawało sobie coraz mniej trudu, by nas zatrzymać. Oczekiwaliśmy lądowania aliantów z pewnym rodzajem zrezygnowanej niecierpliwości, baliśmy się zwłoki i nie wiedzieliśmy, skąd nadejdzie wolność.

Konstruktor samolotów, Marcel Dessault, który tu nosił nazwisko Bloch, uwolnił nas przy pomocy deski i kawałka gipsu z naszej bezradności. Narysował francuskie wybrzeże od Calais do Brestu i wyjaśnił, że alianci — Anglicy i Amerykanie — nie będą lądować w Pas-de-Calais, gdzie ich za bardzo oczekiwano, ani dalej na południe ze względu na skalisty brzeg. Również ujście Sekwany byłoby za łatwe do obrony. Natomiast brzegi Normandii od *Honfleur* oferują piękne plaże i sieć dróg. Gdyby wylądowano w pobliżu Cotentin, odcięłoby się cały półwysep, a potem Bretanię, zapewniłoby się sobie duże porty, których można by użyć natychmiast dla olbrzymich statków transportowych. Który rok? To może być tylko w tym roku, ponieważ w przeciwnym razie Rosjanie wygraliby wojnę całkiem sami i posunęliby się naprzód aż do Renu. Jaka data? To jest zagadnienie przyływu i odpływu morza: czerwiec albo wrzesień. Ale jesień jest bardzo niepewną porą roku dla lotnictwa. Lądowanie odbędzie się zatem w tym roku w pierwszej połowie czerwca między La Havre a Cotentin.

Po ustaleniu tej kwestii lotnik podniósł kołnierz swojej futrzanej kurtki, której nigdy nie zdejmował, i rozciągnął się na swoim legowisku. Nie opuszczał go prawie nigdy.

Szóstego czerwca potwierdziła nam tę przepowiednię, promieniejąc radością, pewna nieszczęśliwa ofiara: był to mężczyzna, którego uwięziono na ulicy bezpośrednio potem, gdy pochwycił nowinę. W wesołym nastroju opróżniliśmy butelkę syropu od kaszlu.

I znowu nasz byt stawał się skokowo nie do zniesienia. Jednym i tym samym krokiem wstąpiliśmy do kraju nadziei i agonii.

Zamachy przeciw niemieckim żołnierzom nasiliły się, a każdorazowo towarzyszyły im nazwiska zakładników, którzy wyludniali nasze rozpaczliwe zabudowania. Barak stał się wkrótce raczej tylko ciemnym przedsionkiem rzeźni. Dziesięciu, dwudziestu i więcej — Żydzi dostarczali największą część, a nieraz pełną liczbę ofiary całopalnej.

W każdej chwili drzwi mogły się otworzyć, mogło zapalić się światło i podoficer SS mógł stanąć w wejściu do baraku z paczką żółtych kartek w ręku. Nieraz ociągając się odczytywał je, co potęgowało strach. Był to apel bez porządku, bez ustalonych zasad, który na chybił trafił raz dotyczył poniżej 24-letnich, raz powyżej 60-letnich i któremu towarzyszyły dwa słowa *ohne Gepäck*.^{*} Znaczyły tyle — co śmierć. Każdy dowolny numer mógł wyjść w dowolnym momencie na tej rulecie śmierci.

Odtąd nie istniał już dzień ani noc, ale raczej trwająca bez końca wigilia śmierci, zmieniająca się z zapadnięciem zmroku na górze w śmiertelną trwożę. Ucho nadśluchiwało w ciemności najlżejszego szmeru we wnętrzu więzienia, zapowiadającego powrót kosy. Najczęściej przychodziła ona w nocy. Kosiała poszczególne głowy lub całe sze-

* bez bagażu

regi. Na czarnym tle otwartych drzwi odwracały się do nas po raz ostatni blade twarze, do świata, do którego już więcej nie należały, z tymi osłupiałymi oczyma bez spojrzenia, które już tylko ręka mogła zamknąć...

Gdy zniknęli, ból i zgroza towarzyszyły im w ślepią ciemność, aż w pozostałych powoli wstępował oddech.

Modliłem się jak zawsze bez wielu słów innych niż „Zdrowaś Mario”, ale coraz silniej dręczyła mnie sprzeczność między tym, co wiedziałem o Bogu, o czym nie mogłem wątpić, a tym, co widziałem w tym diabelskim stuleciu. Słabość korzyła się, łagodność była w pogardzie, kłamstwo ulegało woli bez duszy w tym najkrwawszym wieku historii, który sądzi, że nie będzie miał świadków, ponieważ tak wielu zabija. W górnej sferze modlitwy panowała jeszcze ciągle niebieska strefa, której nie mogła zaciemnić szarzyzna, ale cała reszta była politowania godnym, od stóp do głów drżącym nędzarzem. Pełen zdenerwowania i niecierpliwości ulegałem napadom niepohamowanego grubiaństwa, które mogło się kierować przeciw moim zdumionym towarzyszom. W niepewności, w jakiej znajdowaliśmy się, jak się to dalej potoczy, patrzyłem na odchodzących prawie z zazdrością i popadałem ciągle znowu w labilny stan psychiczny, w którym rozdrażnienie niespodziewanie rozpływało się we łzach. Anioł, którym stać się nie mogłem, byłby może wydał trupa, zanim stał się mężem. Był już czas, by ten stan się skończył.

I nadszedł koniec. Pewnego sierpniowego popołudnia, w dzień po lądowaniu w Prowansji, zjawiał się oficer armii regularnej tzn. ludzka istota na

dziecińcu więziennym z żółtą karteczką w ręce. Czyżby to było wezwanie na zakładnika? Wojsko nie zajmowało się tym. Wywózka? Do tego byłoby potrzeba liczniejszej straży. Wezwanie na policję? Nazwiska były wydrukowane na maszynie na nieurzędowym formularzu. Pośłańcy ci okazali się ludzcy — skrócili nasz dręczący niepokój: byliśmy wolni, Franciszek i ja, jeden tak samo zdumiony jak i drugi, niedowierzający, jak kiedyś mógł być tylko święty Tomasz, ponieważ słyszeliśmy, że mamy odjechać następnym „transportem” do Niemiec. Jednak nie było już żadnego „transportu”. W kilka godzin później pięciu innych towarzyszy odzyskało wolność. W baraku pozostało siedemdziesięciu dwu więźniów. Sami Żydzi. Siedmiu zwolnionych nie było nimi, albo nie zostali, tak jak ja, za takich uznani.

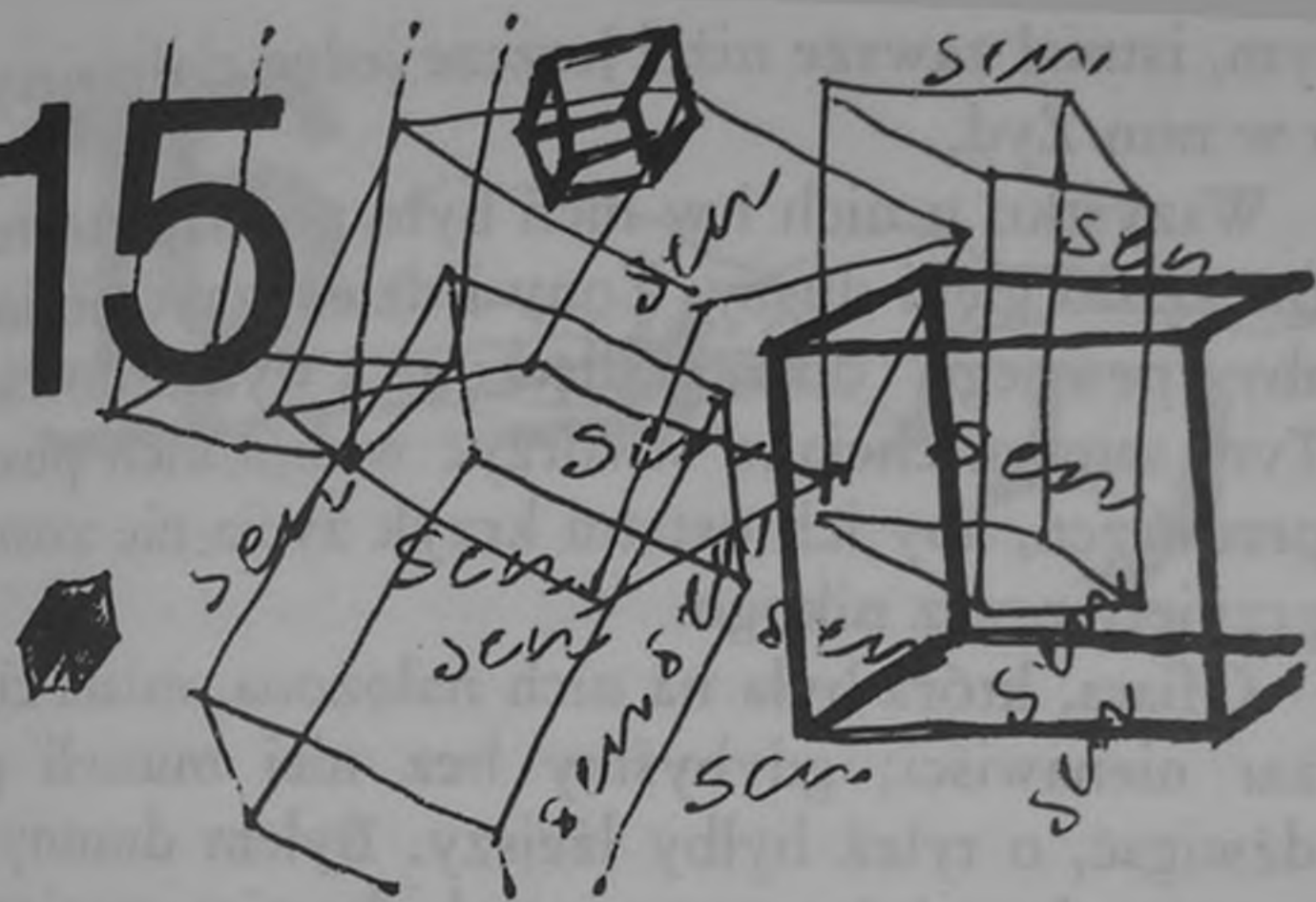
Gdy Franciszek i ja, byliśmy na zewnątrz, całkiem otumanieni tym rozwiązaniem, tak na pozór nierzeczywistym, bo niespodziewanym, oślepieni aż do zawrotu głowy kolorami lata, usiedliśmy — przypominam sobie — na chwilę na brzegu chodnika, aby dojść do siebie. Oglądaliśmy całe to nieprawdopodobne bogactwo roztaczające się przed naszymi oczyma, tę cudowną asfaltową nawierzchnię, ten mur, który można było widzieć od zewnątrz i te drzewa, na których chętnie policzylibyśmy z czułością wszystkie liście. Jednak instynkt samozachowawczy skłonił nas ostatecznie do tego, by się ulotnić.

Odnalazłem swoją żonę u jej starej ciotki. Za ledwie zapukałem do drzwi, ona już je otwierała, inaczej byłbym może wszedł przez nie do środka z taką siłą, z jaką magnes przyciąga do siebie opiłki żelazne. Wyszliśmy na ulicę, aby zaczerpnąć powietrza i wywietrzyć trochę odór roz-

duszonych pluskiew unoszący się wokół mnie. Ulewa przemoczyła nam ramiona i kolana. Od tego czasu lubię deszcz. W więzieniu nie pada.

Tego samego wieczoru dokonano zamachu i przyjaciele, gdy się o tym dowiedzieli, przynaglili nas do ucieczki. Byliśmy już daleko od Lyonu, gdy dotarła do nas straszna wiadomość: gestapo, przygotowujące się do ucieczki, wymordowało siedemdziesięciu dwu towarzyszy, których pozostawiliśmy w przeddzień, w żydowskim baraku.

15



Przez długie lata upiorna ręka snu prowadziła mnie prawie każdej nocy do więzienia.

Nieraz był to zwykły czworobok z kresek wyrysowanych kredą w czarnej przestrzeni. Niewidzialne mury czyniły te niematerialne linie nieprzekraczalnymi. Narzucały mi one nie tylko wnętrze swej bezlitosnej geometrii, lecz zamykały się coraz ciaśniej wokół mnie, tak że oblewał mnie zimny pot. Innym razem byłem doprowadzony do więzienia, potem, gdy już wyszedłem z niego i to drugie przeżycie, które wykluczało nadzieję, a z uwięzienia czyniło koniec wolności, było gorsze niż pierwsze.

Przypominałem sobie, że nasi dozorczy w więzieniu (nie mówię o żołnierzach wehrmachtu, którzy nie byli złośliwi, zwłaszcza gdy się pomyśli, co im o nas opowiadano, lecz o policji, gestapo, SS lub służbie bezpieczeństwa) nigdy nie pominęli sposobności, aby przez nasilenie złego obchodzenia się zaznaczyć różnicę między Żydami i Nie-żydami. Chcieli, aby Żydzi odczuwali tym samym jeszcze głębiej swoje nieszczęście i ciągle mieli jeszcze coś więcej do wycierpienia. W jakimkolwiek kręgu piekła było się zamknię-

tym, istniał zawsze niżej jeszcze jeden ciaśniejszy, a w nim Żyd.

Wszystko u nich i w nich było poddane tortu-
rze aż do głębi duszy. Żony i dzieci zabrano im,
aby pewnego dnia, odłączone, wymordować.
Tym samym chciano stworzyć wokół nich pustą
przestrzeń, aby ich ostatni krzyk życia nie został
przyjęty przez nikogo.

Ofiara, która była na nich nałożona, miała ciężar nienawiści; gdybyśmy bez niej musieli go dźwigać, o tyleż byłby lżejszy. Byłem dumny z mego pokrewieństwa z tym uduchowionym, inteligentnym narodem, który poniekąd bezwiednie stał się przez inkarnację chrześcijańskim i zbawczym. Jak wielu zawdzięczało im życie? Widocznie jednak nie dość kochałem swoich towarzyszy i po koszmarnym śnie przychodziła ze światłem dziennym daremna tęsknota, by przycisnąć cienie do siebie i pocieszyć.

16



Opowiedziałem dziesięć lat z życia młodego człowieka, który zwyciężony przez Piękno, nie chciał z tego stanu zachwyty powrócić więcej do świata. Tymczasem w jednej chwili sprowadzono go w kajdankach do świata wtedy, gdy historia na tej ziemi nie była niczym innym jak gigantyczną kipiela wściekłości. Przecież to widowisko różniło się tylko rozmiarem mordowania od tego, które miał przed oczyma od swego urodzenia w schronie. Wspaniałe wydarzenia, do uczestnictwa w których byli zaproszeni jego rówieśnicy, wzbudzały w nim od dawna więcej odrazy niż rzeczywistego zainteresowania. Dla niego historia ludzi nie była historią Boga albo jeszcze nią nie była. W czasach Ewangelii historia ludzi rozgrywała się w Rzymie, a dzieje Boga w ciszy na peryferiach Judei. W jaki sposób historia zbawienia pozwoli kiedyś tej drugiej wejść w siebie, zobaczymy, gdy Bogu spodoba się to nam powiedzieć. Tymczasem młodemu człowiekowi, o którym mówię, nic nie wydaje się bardziej absurdalne, jak przypuszczenie, że Bóg patrzy na historię tak samo jak my i nie widzi nic więcej niż my widzimy — jak gdyby abonował nasze gazety wieczorne i pozwalał

informować się przez nie o działalności ludzi. Tę obecność Boga, której we wszystkim i wszędzie szukał, odkrywał nie tyle w wielkich światowych zdarzeniach, ile raczej w małych sprawach codziennego życia. I tak, Bóg nie wydawał mu się nigdy tak blisko (ale tak blisko, że mógłby Go uchwycić ręką) niż wtedy, gdy powiedział: „Włosy na twojej głowie są policzone” albo wśród nagle uciszonych piorunów Apokalipsy: „Temu, który mnie kocha i słowa moje zachowuje, podaruję Jutrzenkę”. Jakaż cudowna obietnica, która musiała powstać u początku Drogi Mlecznej! Lekko kulejąca dziewczynka, starająca się iść równym krokiem, którą matka raczej obejmuje niż towarzyszy przy przechodzeniu ulicy; duża, świecąca łysina urzędnika za zasuwany okienkiem, który potrzebuje aktywnego współdziałania, Bóg wie, ilu konstelacji, by utrzymać równo koniec swego ołówka na drobno wydrukowanych linijkach; tam w półmroku sklepu ów słaby, wykrzywiony uśmiech szpetnej kobiety (świadomej swej brzydoty) — to wszystko sprawia, że nieznacznie zadrży wszechświat. To są małe, lokalne zdarzenia, o których nie pisze żaden reporter. Dzięki nim można zobaczyć na wylot przez ułamek sekundy błysk tajemniczej Miłości, która jest po tamtej stronie rzeczy.

Przerywam tu na chwilę moją chronologiczną relację. Co teraz nastąpi, to są cztery pojedyncze, oddzielne obrazy, podobne rycinom z książki. Wypadły one z przeszłości, w której nie odczuwam potrzeby rozczytywania się na nowo.

Pierwszy, to obraz pokoju szpitalnego, w którym po raz ostatni widzieliśmy matkę mojej żony wtedy, gdy zdecydowaliśmy się uciekać, aby ujść

nowemu uwięzieniu. Sama przynaglała nas, by ją opuścić i towarzyszyła nam oczyma aż do drzwi z uśmiechem, który był jakby ostatnim podkreśleniem gwałtownego wyrzeczenia i dodania sobie odwagi. Gdyby ktoś ją widział, tak słabą, że ledwo mogła obrócić na bok głowę na poduszce, nie wiedziałby, czy była śmiertelnie wycieńczona przez chorobę czy też wydała na świat po raz drugi swoje dziecko.

Drugi obraz to mieszkanie w Auteuil wieczorem, osiemnaście miesięcy po zwolnieniu z więzienia i po czwartym czy piątym powołaniu do marynarki. Oparty na swoim biurku mówił do nas mój ojciec, gdy nagle chwycił się za skroń i żalił się, nie mogąc skargi wyrazić słowami. Nie mieliśmy odwagi zrozumieć, co wtedy zachodziło. Potem jednak powstało w tych tak cichych, tak uporządkowanych pokojach, w których spokój mego ojca zdawał się udzielać rzeczom i kierować delikatną ręką wszystkim — aż do wahadła ściennego zegara — niepotrzebne zaaferowanie bezradnej rodziny. Śmiesznymi środkami prowadziła ona walkę, aby okrutnie zrujnowaną istotę ludzką wyrwać trąbie powietrznej, która ją porywała. Odtąd nie śniłem więcej wyłącznie o Fort Montluc.

Nie to, żebym nie miał szczęśliwych godzin w życiu. Fizyczna wolność jest wielkim szczęściem, duchowej wolności nikt nie może nam zrabować. Ludzka miłość jest także wielkim szczęściem, szczególnie gdy się wie, kto czyni ją możliwą. Aby pojąć, co z niej może stać się, gdy się zapomni o jej źródle i początku, wystarczy tylko przejść się koło kina.

Ale ten obraz mego życia jest ocieniony żałobą za zmarłymi.

W trzecim obrazie znowu jawi się jaskrawo oświetlona sala kliniki. Wewnątrz jednak panuje ów rodzaj mgły, który unosi się z długiego, trwoźnego oczekiwania. W kącie między dwoma siostrami moja żona w narkozie, połączona z aparatem tlenowym. Lekarz w białym kitlu podchodzi dwa kroki ku mnie, ciągnie mnie do stołu, zanurza dwie ręce, szeleszczące kauczukiem, w koszyku i mówi: „Ochrzcilem je”.

Oby matka nie zobaczyła go martwego, ona, która te narodziny przygotowywała jak boskie powstanie człowieka. Oby spała snem śpiącej królowej, obudziła się gdzie indziej i nie stawiała żadnych pytań, gdy wsiądę do czarnego wozu, w którym będzie o wiele za dużo miejsca.

Od czwartego obrazu uciekam już od dawna. Odsuwam ten moment godzina po godzinie, gdy muszę na niego spojrzeć. A przecież wiem, że to jest właśnie ten obraz, przez który można zobaczyć coś z najbardziej wewnętrznej prawdy duszy.

Miał dziewięć lat. Nie przeżyłem obok niego owych cudownych miesięcy, gdy dziecko unosi się z poduszki jak wschodzące słońce i oświeca pokój, dom, połowę ziemi, gdy uśmiech jego twarzy jest aniołem, który się wymknął. Na gestapo podczas odwiedzin w Wielką Sobotę zapytywałem siebie, czy nie widzę go ostatni raz?

I oto była znowu Wielka Sobota — i to był ostatni raz.

Przypominam sobie szeroko rozciągniętą, grożącą zawaleniem fasadę szpitala, czarne drzewo,

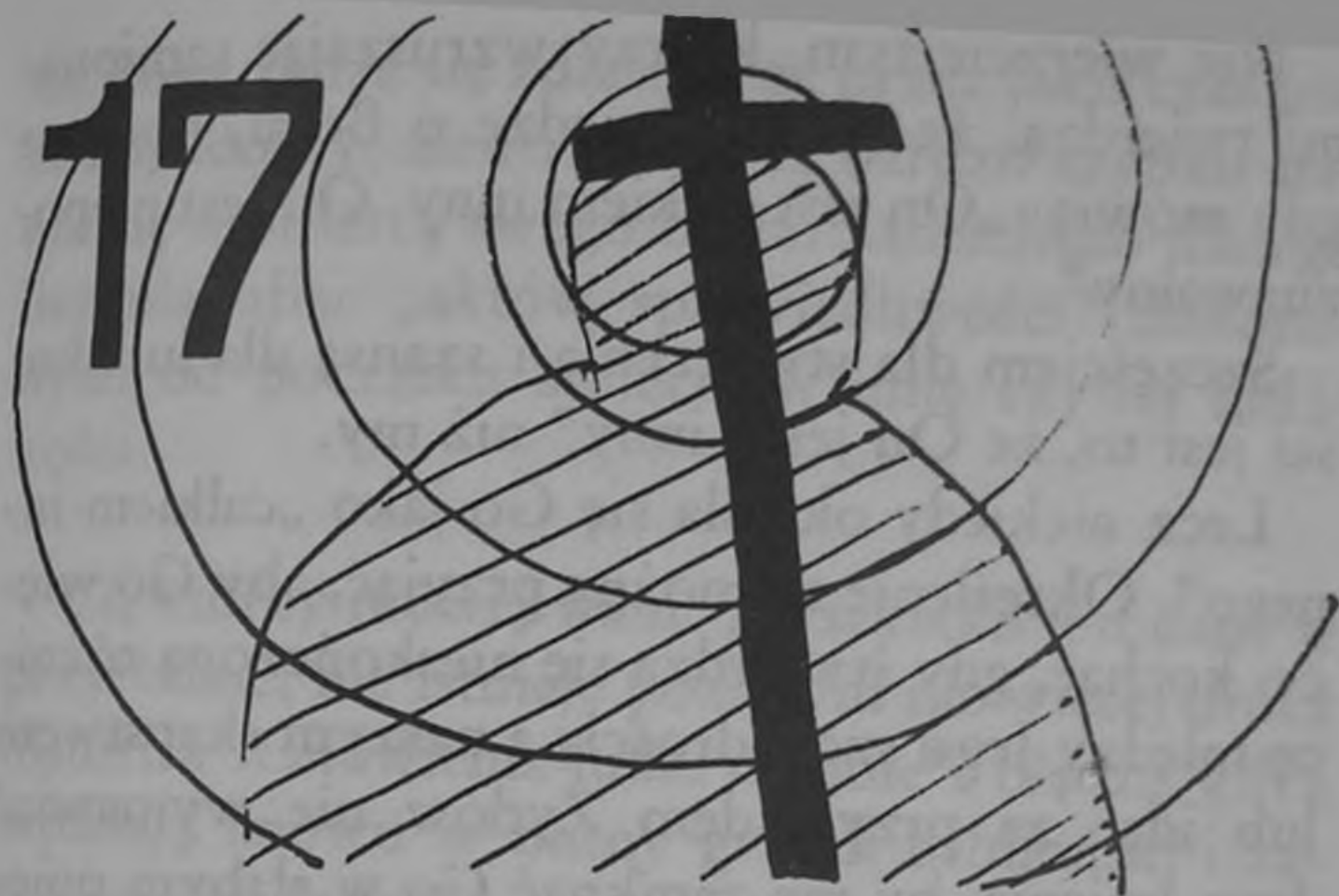
chmury i moją żonę, którą trzymałam za rękę i nie
mając odwagi na nią spojrzeć.

W przeddzień i dwa dni temu oblecieliśmy le-
karzy, którzy odpowiadali wymijająco i kościo-
ły, jeszcze bardziej zamknięte w sobie, fioletowe,
zastłonięte, zasklepione w swoich cieniach, głu-
che dla ziemi. Owe świątynie, w których wygasł
wszelki ślad życia, przeciwstawiały modlitwie pu-
stą przestrzeń i brązowe świeczniki. Klęczałem na
kolanach na skraju przepaści odrętwienia i ciem-
ności. A więc — tchórz, tchórz, po trzykroć
tchórz — a przecież jestem tym, który robi
pierwszy krok, aby wejść do tego szpitala, pójść
przez oszklone drzwi i jako pierwszy przejść
przez szpaler łóżek tam — do światelka nad nie-
winnym stworzeniem, bezlitośnie przeniesionym
w noc Wielkanocy. Mój Boże, mój Boże, co po-
wiem moim braciom, którym został nałożony ten
z niczym nieporównywalny egzamin, dręczący
jednocześnie ciało nigdy nieznanym bólem, jak
i do świtu skowaną duszę.

Czy powinienem im powiedzieć, że cierpimy
i umieramy, ponieważ Ty jesteś z nami, że cier-
pienie jest formą, którą przyjmuje w nas Twoja
nadzieja? Czy uczynię to, co mądrzy uczeni w
księdze Joba, przychodzący na miejsce ze słowa-
mi, kiedy błaga się o żywą obecność? Cóż może
doświadczenie, choćby i bezpośrednie, powie-
dzieć temu, kto z chrześcijanina stanie się ukrzy-
żowanym, a nie chce tego — jak i Jezus w Ogroj-
cu? On sam także przyjmując swój kielich równie
nie może powstrzymać słów: „Czemuś mnie opu-
ścił?” Zostały one na krzyżu powiedziane po to,
byśmy je śmieli bez grzechu powtórzyć. Chrze-
ścijanin nie powinien sądzić, że będzie momental-
nie wysłuchany, że wciąga niewinność Boga w

swą własną moc. Powinien przygarnąć Eucharystię i zespawać swój byt z niewidzialną Obecnością, kryjącą się w niej, w mocnej jasności wiary. Obnażony i ukrzyżowany nie powinien wątpić w Miłość w owej chwili, kiedy zaczyna stawać się Jej podobnym.

Pewnego pięknego dnia (a piękny jest ów dzień, który przeważnie dopiero po latach przychodzi, ale niezawodnie przyjdzie) to powolne, tajemnicze przetrawianie w nas bólu, które czas leczy, kończy się. Ból nie jest więcej bólem, lecz czymś innym, nazwanie czego odwleka jeszcze zdumienie. Jednocześnie chrześcijanin przeżywa z osobliwym słodkim uczuciem pierwszą część przyrzeczenia danego tym, którzy doświadczyli rozdzielenia w najgłębszym pokładzie swej jaźni, w komórce komórki: „Szczęśliwi, którzy płaczą, albowiem oni będą pocieszeni”. Naszym drogocennym dobrem są potem nasze łzy, które pochodzą z czystej i wewnętrznej pewności, że kochaliśmy. Każdej pojedynczej z nich, która nam jest dana, chcielibyśmy błogosławić. To już nie jest ból, to jeszcze nie jest radość, ale to już jest tajemna pewność Miłości, o której wiemy z taką samą pewnością, że królestwu Jej nie będzie końca.



Ci, którzy mówią wam: „Bóg osobowy nie istnieje”, mylą się. Bowiem nie tylko nie chcą znać Osoby Boskiej, lecz skazują własną osobę na to, by błądziła nieskończenie naokoło w poszukiwaniu własnej tożsamości; gdyż tę znajduje się tylko w Bogu i On sam zna jej imię.

Pewnego dnia Bóg pozwoli każdemu z nich poznać jego imię i doznają wtedy tyleż radości, że przyjęli je, jak On, że im je odkrył. Chrześcijaństwo jest historią miłości, a we wszystkich historiach miłosnych wymiana imion jest zawsze ważnym momentem. Jestem przekonany, że ci sami, którzy odrzucali na tym świecie pojęcie Osobowego Boga, będą wszyscy kiedyś zachwycać się, iż mogą wzbudzać u innych poznanie samego siebie.

Tymczasem odrzucają pierwsze przykazanie, które ma za przedmiot miłość Boga, a na skutek tego także drugie, które obejmuje w pierwszym rzędzie bliźniego.

A to oznacza, że zabiera się nam za wiele na raz. Nie wiercie im.

Nie wierzcie tym, którzy wzruszając ramionami twierdzą, że nic nie wiedzą o Bogu, podczas gdy mówią: „On jest całkiem inny, On jest niepoznawalny”.

Szczęściem dla stworzenia i szansą dla ludzkości jest to, że On jest „inny” niż my.

Lecz niekiedy określa się Go jako „całkiem innego”. Określenie to można przyjąć, aby Go więcej kochać, gdy stwierdza się nieskończoną różnicę między Jego szczodrością a naszym skąpstwem lub idąc za przykładem Żydów nie wymawiać Jego Imienia, by nie zamknąć Go w słabym pojęciu. Nazywając Boga „całkiem innym” nie ma się na oku ani pierwszego, ani drugiego celu. Również mówiąc o Nim jako o „niepoznawalnym” nie bierze się przykładu z Żydów — gdyż właśnie Żydzi nie nazywają Go, ponieważ Go znają.

On nie jest kimś „całkiem innym”. Stworzył nas na swój obraz i znaczyłoby to łączyć głupotę z niewdzięcznością, by Mu za to nie dziękować. Gdyby się chciało przyjąć (co jest niemożliwe!), że On stworzył twory całkowicie od siebie różne, które by Mu były we wszystkim przeciwstawne, to byłyby one *per definitionem* wyłączone z Jego Boskiej miłości i nie mogły żyć nawet przez krótki czas jaki spędzamy na tej ziemi.

Ci, którzy mówią wam: „Zamysł Boga jest destruktywny, ponieważ odwraca nas od aktów sprawiedliwości, które mamy tu do spełnienia”, głoszą nedorzeczność, gdyż równie dobrze mogliby powiedzieć, że święty Franciszek z Asyżu lub święty Wincenty a Paulo byliby lepsi, gdyby się do Boga nie modlili.

Człowiek jest istotą, która upodabnia się do tego, na kogo patrzy. Jeżeli odwróci swój wzrok

od Boga, może się zdarzyć, że przez jakiś czas pozostaje dobry, ale również, że bardzo szybko stanie się mordercą swego brata: zaniechano dlatego liczenia ofiar „aktów sprawiedliwości” dokonanych od początku stulecia w imię czystej ludzkości.

Ci, którzy mówią wam: „Wszystko jest dane w przyrodzie, nie istnieje poza tym nic więcej prócz historii i stanowienia ludzi o sobie”, błędzą, gdyż wpadają znowu w butny grzech babiloński i zaczynają budować na tym fundamencie świat bez nadziei i wolności.

Gdy dodają: „Nie ma niczego po śmierci, wszystko się z nią kończy, nie istnieje dla nas żadne życie wieczne”, także się mylą — o ile są niewierzący. O ile jednak są chrześcijanami, zaprzeczają sami sobie i nie mogą się więcej nazywać chrześcijanami. Gdyż nie można zawsze bezustannie powtarzać: „Bóg jest miłością” i nagle ogłaszać, że On niczego i nikogo nie kocha — nawet Samego Siebie.

Bo gdyby stworzenia, którego spełniły przez NIEGO w swym życiu uczynek miłości — chociażby jeden jedyny, chociażby to było tylko litościwe spojrzenie na psa, które na zawsze przepało — należałoby przypuszczać, że Bóg mógł coś stracić ze swej miłości. Jest to niemożliwością z tego prostego powodu, że ON jest jednością i nie można Go dzielić. Kto miłość daje — tym świadczy o egzystencji Boga, nawet gdyby Go nie znał.

A śmierć nie jest stanem trwającej nieobecności, o którym się myśli (gdy się go sobie wyobraża), jak własny grób będzie przez całe wieki ozdobiony kwiatami.

Cmentarze są tylko garderobami zmartwychwstania. Śmierć jest tylko momentem, praktycznie nie istniejącym przedziałem, który oddziela cień od światła błogosławieństw Ewangelii: „Błogosławieni czystego serca, gdyż oni Boga oglądać będą”, „Błogosławieni, którzy płaczą, albowiem oni będą pocieszeni”. Zaledwie kończy się przygrywka, która dokonuje się na tej ziemi, a już wypełnia się obietnica.

Bowiem istnieje inny świat.

Jego czas nie jest naszym czasem, jego przestrzeń naszą przestrzenią. Ale on istnieje.

Nie można go umiejscowić, nie można mu wyznaczyć żadnego miejsca gdzieś w naszym dostrzegalnym świecie. Jego prawa nie są naszymi prawami. Ale on istnieje.

Zobaczyłem go oczyma duszy, jak niemą błyskawicę — transcendencję, która się objawia! — tryskającą z kaplicy na Rue d'Ulm, gdzie On — któż mógłby to przeczuwać — w tajemniczy sposób był zamknięty. W takim wypadku dusza widzi z oślepiającą jasnością, czego oczy ciała nie widzą, choć nawet są rozszerzone napiętą uwagą. Potem pozostaje w nich pewne uczucie zmysłowe, które określiłem w mojej książce jako „raczej niebieskie”. Z namysłem położyłem nacisk na te dwa słowa, aby wyraźnie zaznaczyć, że chodziło o lekko kolorowe zjawisko.

W tym leży sprzeczność, by mówić o tym drugim świecie jak o pierwszym, który tu jest. Tamten drugi — „Królestwo Niebieskie” Ewangelii — może czynić się zrozumiałym bez słów i widocznym bez obrazów, objawia się zaś zupełnie niespodziewanie i nie wprowadza w błąd. Ale on istnieje, piękniejszy niż to, co nazywamy pięknnością

i byłby to wielki błąd, gdyby się chciało przedstawiać go sobie jako niewyraźny i bezbarwny i jako mniej konkretny niż nasz dostrzegalny świat. Kontrast jest prawdziwy: odznacza się cudowną pełnią i gęstością. To jest świat bez próżni, który się ma do naszego tak, jak pozbawione luk sąsiadowanie kosztownych kamieni w mozaice do ażurowej geometrii koronkowej robótki. Dlatego można o nim mówić tylko w obrazach. Są one wprawdzie niewystarczające, by dać świadectwo o jego bogactwie i blasku, ale przecież mają wobec każdej innej mowy, równie mało przystosowanej, przewagę dla swojej barwności i skromności.

Ten duchowy świat ma wypowiedź i siłę dowodu, która jest w dosłownym sensie nuklearna: to jest ostateczna rzeczywistość, która sprawia, że rzeczy są tym, czym są, ponieważ rzeczywiste nie kończy się na tym, co z tego spostrzegamy albo potrafimy wyliczyć. Można by lepiej powiedzieć, że ona zaczyna się tam, gdzie sądzimy, że się kończy.

Do tego drugiego świata, bazującego na zmartwychwstaniu ciał, dążymy wszyscy. W nim urzeczywistni się w nieuchwytnym momencie owa istotna część naszej osobowości, którą jednym przynosi chrzest, innym duchowe widzenie, a wszystkim miłość. W nim odnajdziemy tych, o których mniemaliśmy, żeśmy ich utracili, a którzy są uratowani. Nie wstąpimy tam w jakiejś eterycznej formie, lecz w pełni życia. Przeżyjemy tam ową niesłychaną radość, która uwielokrotni się przez wszędzie dookoła szerzące się szczęście i objawienie się ostatniej tajemnicy: Boskiego promieniowania.

Po czym poznać, że objawienie takie, jakiego doświadczył Ratisbonne, lub też duchowa wizja

(to jest to samo, tylko w różnych formach) jest prawdziwe? Na to pytanie, wypływające z naiwności i metafizyki, będzie taka odpowiedź: Prawdziwość objawienia poznaje się po tym, że ono każe wątpić we wszystko inne. Nie wzbija się ponad widoczny świat, nie włącza się weń. Jego blask przenika świat, odsuwa go na drugi plan, rozpuszcza, tak że pozostaje on przez pewien czas bez gęstości, co nie znaczy: bez rzeczywistości. Okazuje się, że wszystko, co objawienie posiada z rzeczywistości, pochodzi jawnie od tego blasku i na nim polega. Dlatego mistycy są tak realistyczni i tak wymagający w tym, co dotyczy duchowych zjawisk i znaków.

Drugą „kontrolą identyczności” jest zupełna zgodność tego, czego doznaje się w tym momencie, z nauką Kościoła, o ile ten nie boi się swej własnej nauki. Po moim nawróceniu odkryłem, że Kościół długo przedtem sformułował to, co zostało mi objawione w inny sposób. Kapłani nie mieli tego samego przeżycia co ja, a przecież mieli wiele do przekazania. To była dla mnie osobliwa sytuacja, dająca się porównać z tą, gdyby Krzysztofowi Kolumbowi powracającemu z Ameryki starzy kartografowie królowej Izabeli (którzy nigdy nie opuścili swych pracowni) objaśniali jego odkrycia z najdrobniejszymi szczegółami podając dokładne położenie wsi i plantacji.

Trzeci dowód: zupełna przemiana świadka, który będzie zawsze (mój Boże, żeby to mogło tak pozostać do końca) świadomy swej nicości i nie ma żadnego innego życzenia nad to, by pozostać w pobliżu tej Chwały Bożej i wielbić Ją. W ową Chwałę nigdy nie wątpiłem, nawet w najgorszym momencie, ani potem, gdy uczucie, że jest się od Niej odsunięty, łączyło się ze wspo-

mnieniem, iż dorzuciła mi jeszcze jeden ból więcej do mojego nieszczęścia.

Jak mógłbym powątpiewać w to przeżycie? Jeżeli wiem, że Bóg jest darem, a żaden dar nie istnieje bez oderwania i wyrzeczenia, wiem stąd jaka była jego cena. Czy męka Chrystusa niczego nie dała? Kto może powiedzieć, czym ona jest w wieczności i kiedy Syn Boży zaczął być Synem Człowieczym?

Na końcu mej relacji przyzna mi Czytelnik, jak się spodziewam, tę sprawiedliwość, gdy poświadczy, że moich niedostatków nie rozbudowałem w doktrynę i nie postawiłem siebie nigdy za przykład.

Przyznaję się, jak ciężko mi było znaleźć się w tym świecie i jak długiego czasu potrzebowałem, by uznać mojego bliźniego, którego odkryłem dopiero w więzieniu w momencie, gdy miałem go właśnie utracić.

Jeszcze jedno chcę powiedzieć: Jest możliwe, że przez całe życie — i nad tym boleję — więcej Boga podziwiałem niż kochałem.

Jest możliwe (jeśli to tylko nie jest przypadkiem, o mój Boże, jeśli to tylko nie jest przypadkiem), że nigdy nie dałem czasu Jego światłu, by zamieniło się we mnie w miłość bliźniego. Jest możliwe, że ja Bogu tego, co On mi dał, nigdy inaczej nie odwzajemniłem, jak tylko w formie cierni i żółci.

Ale to, co powiedziałem o Nim, napisałem w tym celu, abyście więcej Go kochali, jeżeli Go kochacie; a jeżeli Go nie kochacie, abyście się przynajmniej zastanowili nad Istotą, ku której wyrywa się nieświadomie każdy ludzki duch, każda dusza lub (jak zawsze można by nazwać

w nas) czysta zdolność do boskości. Owa zdolność zaprzecza i będzie zaprzeczać przez wszystkie stulecia bez przerwy i spoczynku wszyskiemu, co nie jest NIM. Jego znajduje, a raczej wielokrotnie odnajduje, jeżeli wzięła na siebie ryzyko wiary.

Człowiek bowiem pochodzi z miłości i do miłości wraca na mocy wiary i nadziei przez cierpienie i śmierć. I nic nie może mu w tym przeszkodzić.